MBP im. J. Piłsudskiego

❷ *Przepis na szmal* ❸ *Kapłani i polityka* ❺ *Prostytucja we dwoje* ❻ *Majestat księżnej Diany* ⓫ *Umierali, patrząc w niebo* ⓭ *Tygodniowy program TV* ⓰ *Kwadratura seksu*

Łódź
Odgłosy

Nr 13 (1698)
Rok I (XXXIV)
18 sierpnia 1991 r.
Cena 3000 zł

Prawie trzy czwarte absolwentów łódzkich uczelni obawia się swej przyszłości

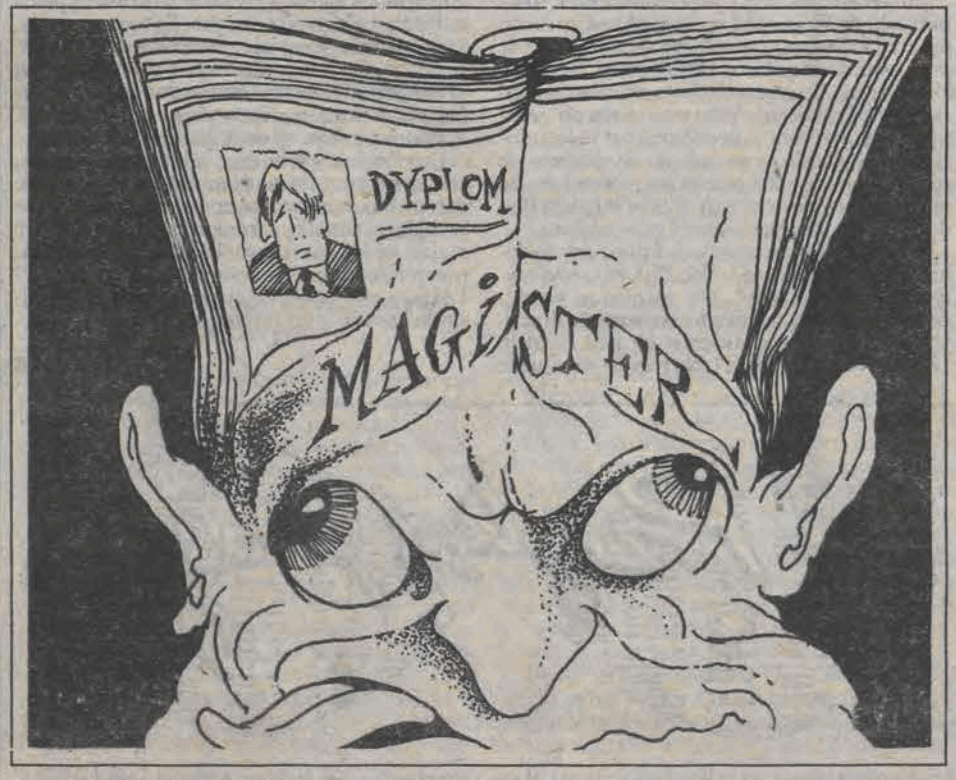

Rys. Dariusz Romanowicz

Z dyplomem, ale bez pracy

GRZEGORZ MATUSZAK

Trwają jeszcze wakacje i większość tegorocznych absolwentów szkół wszystkich typów, w tym także wyższych uczelni, stara się w miarę możliwości wykorzystać ostatni dwumiesięczny okres wypoczynku. We wrześniu zapewne podejmą starania o znalezienie pierwszej w życiu pracy i wtedy również po raz pierwszy praktycznie zetkną się z problemem bezrobocia. Jeżeli w lipcu czytali gazety, to wiedzą już, że na koniec pierwszego półrocza tego roku w Polsce było 1.574 tysiące bezrobotnych, czyli 8,4 proc. ludności czynnej zawodowo, co oznacza jeden z najwyższych wskaźników w Europie. Jeżeli słuchali radia, to od ministra kierującego Centralnym Urzędem Planowania mogli się dowiedzieć, że do końca roku liczba bezrobotnych może osiągnąć 2-2,5 miliona. W tej prognozie oni również zostali policzeni i choć trudno o szczegółową ocenę rozwoju sytuacji na rynku pracy, to jedno jest pewne – zatrudnienia dla większości nie będzie.

Zeszłoroczne doświadczenia z września, kiedy to liczba nie mogących znaleźć pracy absolwentów szkół wynosiła 147.376 osób, czyli 16.6 proc. ogółu zarejestrowanych bezrobotnych, tylko częściowo mogą być przydatne w tym roku. Prawdopodobnie znów około 80 proc. wszystkich bezrobotnych absolwentów będą stanowili młodzi ludzie, którzy ukończyli zasadnicze i średnie szkoły zawodowe. W ubiegłym roku pozostających bez pracy absolwentów szkół wyższych było stosunkowo niewielu – 4 proc., w tym roku można oczekiwać, że ich liczba wzrośnie, być może do 10-12 proc.

W Łodzi rok temu poszukiwało pracy ponad 200 młodych magistrów, w Warszawie prawie 600, w Krakowie ponad 400. Jeśli moje umiarkowanie pesymistyczne przewidywanie sprawdzi się, to jesienią tego roku w Łodzi może ich być około 400-500. To właśnie im, ich rodzinom i młodszym kolegom oraz ludziom zainteresowanym problemem zatrudnienia absolwentów szkół wyższych, przede wszystkim pozwalam sobie zadedykować uwagi oparte o wyniki przeprowadzonego przeze mnie badania socjologicznego wśród 145 magistrów, którzy ukończyli Uniwersytet Łódzki (60 osób) i Politechnikę Łódzką (85) w 1990 r. i dla których nie było żadnych ofert pracy zgodnej z ich kwalifikacjami. Im to właśnie przypadł wątpliwy „zaszczyt" bycia pierwszym rocznikiem absolwentów łódzkich uczelni oficjalnie dotkniętych bezrobociem.

W roli bezrobotnych

Dla młodych ludzi, tuż po ukończeniu studiów, znalezienie się w sytuacji bezrobotnych było znacznym zaskoczeniem. Tylko 40 proc. wszystkich objętych sondażem potwierdziło, iż przed 1990 r. brało pod uwagę, że mogą mieć trudności ze znalezieniem pracy po ukończeniu uczelni. Blisko 2/3 takiej ewentualności w swoich planach życiowych nie uwzględniało. Ciekawe, że bardziej pesymistycznie swoje szanse na rynku pracy postrzegali młodzi inżynierowie (47,1 proc. absolwentów PŁ liczyło się z możliwością bezrobocia) niż osoby, które ukończyły UŁ (30 proc. brało pod uwagę taką możliwość).

Nie mogącym znaleźć pracy magistrom wprost postawiłem pytanie – czy człowiek pozbawiony pracy nie ze swej woli i winy jest mniej wart niż człowiek pracujący? Zdecydowana większość (89 proc.) odrzuciła taką supozycję i negatywnie odniosła się do deprecjacji wartości człowieka tylko dlatego, że jest on bezrobotny. Zwraca jednak uwagę fakt, że co dziesiąty z absolwentów uznał bezrobocie za czynnik degradujący człowieka.

Jako społeczeństwo właściwie znajdujemy się dopiero u progu masowego bezrobocia, a już można dostrzec wśród, na razie stosunkowo nielicznej grupy, absolwentów szkół wyższych gotowość do akceptacji opinii o mniejszej wartości bezrobotnego. Jeżeli takie zdanie wyrażają absolwenci nie mogący znaleźć pracy, to oznacza to, że ich status bezrobotnych może być źródłem niskiej samooceny i frustrującego przekonania o znalezieniu się na marginesie społeczeństwa.

Cd. str. 3

Dlaczego Amerykanie kochają Lecha Wałęsę?

Rozmowa z JERZYM KROPIWNICKIM, doktorem ekonomii UŁ, wiceprzewodniczącym Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego

– Wrócił pan niedawno z USA, gdzie na stypendium naukowym przebywał pan prawie przez rok. Jak według pana obserwacji Polskę odbiera Amerykanin, a jak tamtejsza Polonia?

– Słuszne rozróżnienie. Trzeba byłoby do tego dodać jeszcze środowisko, z jakiego wywodzi się Amerykanin. Bo przeciętny Amerykanin, który rano jedzie do pracy, tam przegląda lokalną gazetę, zajmującą się głównie sprawami amerykańskimi i to przeważnie lokalnymi, o innych sprawach dowiaduje się tylko wtedy, gdy stają się one dramatyczne.

– Na przykład wojna w zatoce lub wojna domowa w Jugosławii?

– Tak. Wtedy dowiaduje się, że jest jakiś Irak, Iran, jacyś Serbowie, Chorwaci. Wtedy gazety, tygodniki, radio i telewizja koncentrują się na tym fakcie. Najpierw mówią o tym w radiu i telewizji, piszą gazety, potem tygodniki, a na koniec zajmują się tym w zbiorczych analizach.

– A gdy się nic nadzwyczajnego na świecie nie dzieje?

– Poza wielkimi miastami Wybrzeża Wschodniego – od Bostonu na północy po Waszyngton na południu, poza kilkoma miastami w Kalifornii: Los Angeles, San Francisco – informacje o Europie, a nie tylko o Polsce – są sporadyczne. Owszem, gdy na prasę amerykańską patrzy się przez „New York Times" lub przez „New York Herald Tribune", to może się wydawać, że Amerykanie są znakomicie poinformowani o tym, co się dzieje na świecie. Ale to złudzenie. Mieszkałem w mieście więcej niż stutysięcznym, mniej niż dwustutysięcznym na środkowym zachodzie, w mieście uniwersyteckim i można było się spodziewać, że wychodzące tam gazety będą miały wyższe aspiracje.

– I rozczarował się pan?

– Tak to można określić, gdyż prasa ta zajmuje się przede wszystkim amerykańskimi sprawami własnego stanu, lokalnymi. Kto miał wyższe aspiracje kupował „New York Times", co było dużym wydatkiem, gdyż gazeta ta kosztowała tam więcej niż w Nowym Jorku czy Waszyngtonie. Cena gdzieś na poziomie wydawanych tam tygodników.

– I jaki miał pan tam obraz Polski?

– Polska pojawiała się przez moment, gdy w kraju trwała kampania wyborcza i Lech Wałęsa został wybrany prezydentem oraz przez moment, gdy prezydent Lech Wałęsa przyjechał do USA i gdy był w Chicago. I to nie dlatego, że Amerykanie nie lubią Polski czy Europy. Tam po prostu człowiek, który chce uchodzić za inteligentnego nie ma obowiązku, jak to jest

Cd. str. 4

ff
PRZEDSTAWICIELSTWO FIRMY
FORD
zaprasza
do sklepu
Z CZĘŚCIAMI ZAMIENNYMI
Łódź, ul. Julianowska 20
godz. 9.00-17.00, tel. 57-79-44
17.00-21.00, tel. 57-80-07

BABY SHOP
oferuje tanie:
- odżywki i akcesoria GERBERA
- kosmetyki JOHNSON & JOHNSON
- bieliznę, ubranka dla niemowląt i dzieci

oraz
duży wybór zabawek renomowanych firm europejskich
Łódź, Piotrkowska 144
tel. 36-28-67
36-28-14

Nie czekaj na ostatnią chwilę!!!
Marbel
bezpośredni importer zaopatruje w:
- art. szkolne
- art. piśmienne
- zabawki
- galanterię

ZAPRASZAMY
Łódź, ul Brukowa 6/8
tel. 51-23-18 w. 91

WIDZIANE Z ŁODZI

● Wybuchła afera związana z postępowaniem spółki „ART B". Aresztowano tymczasem kilku urzędników bankowych, zamieszane są w tę aferę Narodowy Bank Polski oraz Powszechna Kasa Oszczędności BP, a także inne banki. Grażyna Taładaj – rzecznik prasowy Prokuratury Wojewódzkiej w Warszawie, poinformowała dziennikarzy, że zatrzymano też osoby nie będące pracownikami banków ani spółki. – *Sprawa jest poważna* – powiedziała Grażyna Taładaj – *i nie mogę ujawnić szczegółów.* – Prezesi „ART B" wyjechali za granicę i zrzekli się kierowania spółką, upoważniając do tego jeden z banków. W przeszukaniu lokali i w kontroli dokumentów „ART B" udział wzięli pracownicy Urzędu Ochrony Państwa oraz komandosi. W Cieszynie prokuratura powołała się na art. 264 § 2, pkt 4 kodeksu karnego, który mówi o karaniu pracowników państwowych i publicznych za ujawnianie tajemnic służbowych za granicą. Prezes Bogusław Bagsik, który posiada obywatelstwo polskie, niemieckie i izraelskie, zorganizował dla dziennikarzy telekonferencję. „Gazeta Wyborcza" twierdzi, że łączono się z Tel Awiwem.

Obroty „ART B" zamykały się sumą 300 mln dolarów. W 1990 roku „ART B" zapłaciła 180 miliardów zł podatku. Spółka posiada swoje zakłady oraz sklepy we Wrocławiu, Wałbrzychu, Warszawie, Poznaniu, Cieszynie oraz wynajmowała dworek w Pęcicach. Ten sam, w którym, w czasie kampanii prezydenckiej, rezydował Stan Tymiński.

● W związku z aferą „ART B" ZJM komentuje:

Aferzyści i banki popalić nam dali,
prokurator ściga – telewizja chwali.
Może więc ktoś zechce zdradzić wreszcie mi,
Kto to się naprawdę kryje za „ART B"?

● W Konstantynowie koło Gąbina w Płockiem remontowano maszt radiowy, z którego emitowano do niedawna program I PR. W tych dniach maszt runął. Pracownicy Mostostalu z Zabrza założyli prowizoryczny odciąg, który nie wytrzymał. Maszt padając nie zniszczył budynku z urządzeniami nadawczymi. Do chwili postawienia masztu i jego wyremontowania, co jest możliwe, nadal program I PR nadawany będzie z Raszyna. Dla Raszyna przewidziano sprowadzenie w tym roku silniejszych urządzeń nadawczych. Być może komisja, która bada przyczyny katastrofy, zgłosi wniosek o przyśpieszenie realizacji kontraktu dla Raszyna. Inaczej audycje programu I PR będą źle słyszalne.

● W Łodzi ma być sprzedawany „Dziennik Związkowy", gazeta wydawana w Chicago, której redaktorem naczelnym jest Ewa Sułkowska-Bierezin. Gazeta ma 64 strony, w tym kilkanaście z ogłoszeniami. Cena jednego egzemplarza: 1 dolar. W Łodzi – równowartość 1 dolara w złotówkach.

● „Dziennik Łódzki" zapytał między innymi Romana Bartoszcze – lidera Polskiego Forum Ludowo-Chrześcijańskiego – jak widzi szanse przebicia się wśród silniejszych? Roman Bartoszcze odpowiedział: – *W ciągu 3 miesięcy, które nam pozostały, może się jeszcze wydarzyć wiele rzeczy, o których nie mamy najmniejszego pojęcia. Na razie jest gorące lato i ludzie różnie reagują na temperaturę. Na jesieni, po żniwach powinno się ochłodzić.* – Jest to wzorowa odpowiedź wymijająca, nie pozbawiona elementów wieszczych.

● W sobotę, 10 sierpnia, wyruszyła z Łodzi do Częstochowy młodzieżowa pielgrzymka. Przewidywano, że weźmie w niej udział blisko 10 000 osób. Pielgrzymka wyruszyła trasą: Pabianice, Dłutów, Łękawa, Brzeźnica do Lubojenki, gdzie w odległości 10 km od Częstochowy będzie kwaterować. Pątników – na spotkania z Janem Pawłem II – dowozić będą autobusy MPK z Łodzi. Czas wędrowania ma być wypełniony modlitwą, śpiewem oraz wspólnymi rozważaniami na różne tematy.

● Powstała Tymczasowa Naczelna Izba Aptekarska. W Łodzi rozpoczęła działalność jej grupa inicjatywna. Zarząd Miasta podjął decyzję, na mocy której 30 łódzkich aptek należących do „Cefarmu" otrzymało wypowiedzenie najmu lokali. „Cefarm" odwołał się do wojewody i ministra zdrowia, twierdząc, że naruszone zostały ustawy o uprawnieniach samorządu terytorialnego, prywatyzacji przedsiębiorstw i gospodarce gruntami. Co na to Tymczasowa Izba Aptekarska? Kto stanie w obronie chorych, którzy muszą mieć gdzie kupić lekarstwa?

● Jak doniósł „Express Ilustrowany" w rejonie Niżu Polskiego, między Łodzią i Poznaniem, na głębokości kilkunastu tysięcy metrów, powinien być gaz albo ropa naftowa. Jedna z działek o powierzchni 1 200 km znajduje się w Łodzi. Inwestycjami w Polsce są zainteresowane firmy zagraniczne, które posiadają sprzęt potrzebny do głębokich wierceń. Maluczko, a możemy stać się zagłębiem naftowym.

B.M.

Odgłosy

Tygodnik „Odgłosy"
Radaktor naczelny Mirosław Kuliś
Wydawca: „Odgłosy-Press" S.C.
90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5
☎36-52-44
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Przepis na szmal

Odżyła sprawa Grobelnego, który, choć poszukuje go Interpol i cała nasza policja, widywany jest to tu, to tam przez domorosłych detektywów, a prasa chętnie drukuje nawet najdziksze bzdury o największym aferyście powojennej Polski. Jednocześnie nasze gazety pełne są ogłoszeń zapewniających, że zrobienie dużego szmalu to rzecz dziecinnie prosta, wystarczy tylko za zaliczeniem pocztowym nabyć właściwy poradnik.

Nie wątpię, że autorzy tych inseratów czerpią jakieś zyski, nabierając naiwnych, podobnie jak cwaniacy z międzynarodową praktyką obiecujący legalne zatrudnienie za granicą czy wizę imigracyjną. Trzeba tylko wpłacić odpowiednią kwotę na jakieś anonimowe konto, a później to już loteria. Mnożenie się spółek z nieograniczoną nieodpowiedzialnością dowodzi wszakże, że wchodzimy już we wstępną fazę kapitalizmu. Kiedy prezydent Lech Wałęsa rozda nam po 100 milionów, milionerami będziemy właściwie wszyscy i wreszcie ziści się socjalistyczny sen o sprawiedliwości społecznej, który mógł się zrealizować dopiero w warunkach rozwiniętej gospodarki rynkowej.

Ponieważ mam pełne zaufanie do Pana Prezydenta, nie wątpię, że obiecane 100 milionów kiedyś dostanę. Tylko kiedy to nastąpi i ile będzie wtedy kosztowało pudełko zapałek?

Mój sąsiad, którego zwolniono z pracy w związku z likwidacją firmy, czekać nie może. Z wykształcenia technik elektryk, zatrudniony był co prawda jako magazynier, ale zna się na wszystkim. Poznałem go głównie jako hydraulika, kiedy miałem kłopoty z przeciekającym kranem, ale pan Franek potrafi także zreperować telewizor. Czyta „Express Ilustrowany", choć ma za sobą także poważniejsze lektury. Na przykład „Biblioteczkę Tygrysa", którą odziedziczył po swym ojcu i kontynuował zbiory, dopóki książki w Polsce były jeszcze tanie.

Ostatnio pan Franek przyszedł do mnie z antałkiem piwa „DAB", zakupionym u Stanleya. Rozsiadł się, wetknął specjalną pompkę w blaszaną pokrywę i sprawnie napełnił postawione przed nim szklanki rzeczywiście wybornym napojem. Nie była to wizyta czysto towarzyska, choć piwo we dwóch pije się lepiej niż samemu. Potrzebował porady, co ma robić, kiedy już całkiem przejdzie na zasiłek.

Przypomniałem sąsiadowi jego talenty w zakresie drobnych napraw domowych, pokręcił jednak głową i stwierdził, że usługi to dziś nie to, a rzemiosło w ogóle upada. Przy okazji poinformował, że Balcerowicz to komuch, do tego z obcej matki, bodaj Rosjanki. Kiedy usiłowałem nieśmiało zaprzeczać, spojrzał na mnie tak jakbym sam był w spisku z Balcerowiczem i wespół z nim wyprzedawał Polskę obcemu kapitałowi.

Pracując w magazynie pan Franek odłożył to i owo dla siebie. Był przewidujący i traktował te działania jako osobisty wkład do walki z władzami stanu wojennego. Za te pieniążki, zamieniane raz na dolary, a raz na złotówki, postanowił uruchomić wydawnictwo. Nie był tylko pewien, co by teraz najlepiej szło.

Zdumiałem się nad kolejami ludzkich losów i ukrytych ambicji, choć w dziennikarskim fachu takie zdziwienia są jałowe. Na szczęście w porę przypomniałem sobie o bibliofilskim rarytasie. Zwie się on „Co czytać?" i jest autorstwa o. Mariana Pirożyńskiego, a patronowali mu oo. jezuici z Krakowa, choć sam cicerone był redemptorystą. Członkowie tego zakonu wyróżniają się spośród innych braci przede wszystkim tym, że oprócz trzech zwyczajnych ślubów składają ślub dozgonnego pozostawania w zgromadzeniu.

Pan Franek spojrzawszy na firmę i rok wydania (1932), żachnął się i stwierdził, że kiedyś czytywał „Głos Poranny", ale porzucił tę gazetę, odkąd zrobiła się tak świętoszkowata, że drukuje w odcinkach żywoty świętych pod szyldem „Patroni na każdy dzień". Na tym się szmalu nie zrobi, każdy ma dziś tego po dziurki w nosie i wyłącza telewizor, ilekroć pojawia się jakiś ksiądz.

Kiedy jednak wytłumaczyłem sąsiadowi, że o. Marian Pirożyński zajmował się w swoim przewodniku bibliograficznym głównie książkami, których nie należy czytać ze względu na zgorszenie, sąsiad uznał, żem łebski facet. Zmartwił się trochę, że mimo ostrzeżeń Balzac, Stendhal czy Pirandello zostali już w Polsce wydani i to przed wojną. Było jednak w końcu z czego wybierać, bo przewodnik zawiera 3500 pozycji i to 1000 autorów.

Pan Franek zapalił się zwłaszcza do pozycji figurujących na papieskim indeksie książek zakazanych. Zdziwił się tylko, że wymieniono tam Dumasa, bowiem czytał kiedyś „Trzech muszkieterów". To ze względu na kardynała Mazarin, wyjaśniłem. Chyba. *„Nasz kardynał Wyszyński bił tamtego na głowę, on by nie zakazał"* – stwierdził pan Franek i trudno się z tym było nie zgodzić.

Po tym stwierdzeniu pan Franek wziął się do odpisyw. nia autorów i tytułów najbardziej przez o. Pirożyńskiego potępianych. Są to, co prawda, same starocie, ale wiele z nich widziałem na bazarze w nowych wydaniach z lakierowanymi okładkami. Widocznie inni wydawcy także czerpią natchnienie z przewodnika oo. jezuitów. Wiadomo, zakazany owoc bardziej smakuje.

Pan Franek wychodząc zaklinał mnie tylko, żebym nikomu nie udostępniał listy. Uważa, że dałem mu niezawodny przepis na zrobienie szybkiego szmalu, a konkurencja nie śpi. Nie mając widocznie do mnie pełnego zaufania, potajemnie zabrał ze sobą także „Co czytać?". Dlatego nie mogę zacytować co smaczniejszych kąsków z tej książeczki.

Zastępca

Wszyscy prezesi „ART B" mieli uzdolnienia muzyczne, zaś cel był taki: przyrost kapitału w postępie geometrycznym.

Cztery miesiące temu spółka „ART B" wyszła z cienia. Stało się tak z okazji podpisania kontraktu na zakup całej rocznej produkcji „Ursusa", który nie mógł znaleźć nabywcy na swe traktory. Transakcja ta, ogłoszona wówczas jako zbawienna, nie przyniosła szczęścia (czyli zysku) ani podwarszawskiej fabryce, ani potężnej spółce. Okazało się, że „Ursus" jest tak zadłużony, iż nie pomogą mu nawet pieniądze z wielce korzystnego kontraktu. Rzekomi zaś wybawiciele stracili jeszcze więcej: wszystko bowiem wskazuje na to, że ich „wyjście z cienia" było przedwczesne, gdyż postawiło spółkę w centrum uwagi, co okazało się dla niej fatalne w skutkach. Zacznijmy jednak od afery z „Ursusem", zrelacjonowanej przez **„Przegląd Tygodniowy"** (31):

„Nawet borowcy mówili potem, że tak zdenerwowanego premiera nigdy nie zdarzyło im się widzieć, a przecież widywali go w najróżniejszych sytuacjach. Zdenerwowanego – to nawet za mało powiedziane. Bliskiego ataku wściekłości i z najwyższym trudem hamującego się.

Gdy premier Jan K. Bielecki przybył do „Ursusa" na spotkanie robocze, od razu zażądał, by dostarczono mu dokumenty księgowe. (...) Widać było, jak w miarę czytania zdziwienie premiera przechodzi w irytację, a potem – w gniew, by użyć słowa najłagodniejszego. Jednym z pytań, jakie premier zapewne sobie zadawał, było: czy „Ursus" miał szansę poradzić sobie, gdyby w porę podjęto odpowiednie działania. I odpowiedź musiała wypaść twierdząco, skoro po opuszczeniu sali za dźwiękoszczelnymi drzwiami, przed kamerami telewizyjnymi mówił – starając się zachować panowanie nad sobą – o niespotykanym braku kompetencji, czy nawet sabotażu".

Nie wdając się w szczegóły, podajmy za „PT" jedynie to, że „Ursus" nie miał już nawet na zapłacenie rachunku za energię. Decyzje premiera były szybkie i ostre:

„Po wizycie w „Ursusie" Ministerstwo Przemysłu znalazło się w epicentrum trzęsienia ziemi. Już w poniedziałek wieczorem dyrektor gabinetu min. Zawiślaka otrzymał od dyrektora gabinetu premiera Wojtkowskiego wiadomość telefoniczną. Miał zawiadomić swego szefa, że następny dzień będzie należeć do wyjątkowo nieprzyjemnych.

Minister Zawiślak i premier Bielecki rozmawiali w cztery oczy. Nikt poza nimi dwoma nie wie, jaki był przebieg rozmowy, w jakim tonie była ona utrzymana. Jej efektem było sześć aktów dymisji dla czterech wiceministrów i dwóch dyrektorów generalnych w Ministerstwie Przemysłu, które dyr. Sawicki wręczał później zainteresowanym. – Nigdy więcej nie chciałbym tego robić – mówi".

Następnie do dymisji podał się sam minister, zaprzeczając jednak wersji, jakoby właśnie „Ursus" stał się powodem jego decyzji. Faktem jest, iż następczyni ministra Zawiślaka, **Henryka Bochniarz,** zaczęła swe urzędowanie od próby uratowania fabryki. W tym celu zamierza skorzystać z tzw. postępowania układowego, czyli „ułożenia się »Ursusa«" z wierzycielami polegającego na odłożeniu terminu płatności długów, zmniejszeniu majątku fabryki, redukcji zatrudnienia i dokonaniu zmian struktury własnościowej". Sposób ten nie był jeszcze w powojennej Polsce wykorzystany, co zaznacza w wywiadzie dla **„Polityki"** (32):

„Gdy w nocy ze środy na czwartek zastanawialiśmy się co zrobić z „Ursusem", na stole leżały same przedwojenne papiery. I nie pochodziły stąd, z ministerstwa. Tu takich dokumentów nie było. Na szczęście koledzy mieli je w domach. Sąd nie ma doświadczeń, banki nie mają doświadczeń, przedsiębiorstwa też nie. Pracownicy zatrudnieni u mnie będą więc musieli wykonywać pracę dla wszystkich. Traktuję to jednak właśnie jako przetarcie szlaku. Materiały dotyczące „Ursusa" należałoby potem opracować i metodę upowszechnić, by było wiadomo jak ją stosować".

Wyrok na „Ursus" został więc za sprawą nowej pani minister odroczony, a tymczasem zacieśnia się pętla oskarżeń wokół spółki „ART B". Zanim przejdziemy do szczegółów tej nowej afery, przypomnijmy, co o tej firmie pisała w kwietniu br. **„Gazeta Wyborcza":**

„ART B" powstała zaledwie trzy lata temu i w krótkim czasie stała się jedną z najbogatszych polskich spółek. Jej zeszłoroczne obroty przekroczyły 300 mln dolarów. Udziałowcami są trzej młodzi ludzie (w wieku od 28 do 34 lat) – Bogdan Bagsik, z wykształcenia muzyk, Andrzej Gąsiorowski – lekarz i Jerzy Pagieło – adwokat. Początkowo prowadzili własne niewielkie firmy handlowe, a w 1989 r. utworzyli „ART B".

– „ART B" znaczy „Artistic Business" – mówi Jacek Wędrowski, główny prawnik firmy. – Wszyscy właściciele mają uzdolnienia muzyczne. Andrzej gra na skrzypcach i syntezatorach, a Bogdan jest z wykształcenia muzykiem. Początek działalności spółki był także związany z muzyką. Organizowała koncerty pop-music, zajmowała się też promocją. Na tym firma zaczęła zarabiać, a dziś pozostaliśmy wierni naszym zamiłowaniom i staramy się zajmować kulturą (...)

– Założyliśmy, że przyrost kapitału w naszej firmie będzie geometryczny, a nie arytmetyczny. Interesuje nas nawet mały zysk, byle obrót był duży – mówi Andrzej Gąsiorowski.

Dziś „ART B" zatrudnia 15 tys. osób w 30 oddziałach w całej Polsce. Poszczególne departamenty zajmują się różnymi dziedzinami handlu i produkcji. (...)

Artykuł w „Gazecie" kończy się następującą wypowiedzią jednego z prezesów:

„– To prawda, że to przedsięwzięcie zaczęło w pewnej chwili nas przerastać – przyznaje Gąsiorowski – Nie byliśmy w stanie sami kierować całością. Mamy zaufanie do naszych współpracowników, którzy samodzielnie prowadzą poszczególne departamenty".

A zatem – chciałoby się obecnie skomentować – albo to przedsięwzięcie rzeczywiście przerosło prezesów, którzy okazali się zbyt ufni w stosunku do podwładnych, albo – zawinił zbyt „artystyczny interes" w połączeniu z ryzykowną wielce tezą, iż „przyrost kapitału będzie geometryczny". Jak w praktyce osiągano ten przyrost, tłumaczy ta sama **„Gazeta Wyborcza"**, ale w numerze z 9 sierpnia br., gdy już wybuchła afera:

„Mechanizm oszukiwania banków przez „ART B" (...) był prosty. Spółka sama lub któraś z jej licznych firm brała z banku czek i natychmiast (np. helikopterem) wiozła go do innego banku w drugim końcu kraju.

Pierwszy bank wyksięgowywał tę sumę po otrzymaniu z drugiego potwierdzenia, że suma ta wpłynęła do niego. Potwierdzenie nie szło już jednak helikopterem, ale normalną drogą, co trwało 2-3 dni. Przez ten czas firma dostawała oprocentowanie z obu banków, bo pierwszy liczył je do dnia wyksięgowania, a drugi od chwili, kiedy otrzymał czek.

Proceder był opłacalny, bo w grę wchodziły wielkie sumy, a operację tę „ART B" wykonywała wielokrotnie.

Było to możliwe, bo do niedawna banki miały obowiązek telegraficznego (czyli natychmiastowego) potwierdzania jedynie kwot powyżej 10 mld zł. Operowano więc wielką liczbą czeków na 9 mld z groszami.

Wielokrotne wykonywanie takich machinacji nie było możliwe bez współpracy niektórych pracowników banków.

Drugi rodzaj przestępstwa to dawanie „ART B" lub firmom należącym do tej spółki gwarancji kredytowych bez sprawdzenia, czy mają one należyte zabezpieczenie na te kredyty".

Począwszy od środy 7 sierpnia, każdy dzień przynosi dalsze, sensacyjne szczegóły tej wielkiej afery, która zatacza coraz szersze kręgi, wciągając w swój wir kolejne wysoko postawione osoby ze sfery bankowości. Ciekawe, czy będzie to ostatnia wielka afera przed wyborami? Wspominam o nadchodzących wyborach nie bez kozery: nie mam bowiem wątpliwości, że sprawa „ART B" otrze się w końcu o politykę: albo komuś ze znanych polityków zaszkodzi, albo bardzo komuś pomoże. Jedno z dwojga.

AG

U progu masowego bezrobocia

Cd. ze str. 1

Zapytani o to, jaką, w sytuacji niemożności znalezienia pracy, skłonni byliby wybrać drogę postępowania, bezrobotni magistrowie dość wyraźnie ujawnili swoje preferencje. Najczęściej deklarowali: „wyjadę z Polski i będę szukał pracy za granicą" (35,9 proc.) oraz „będę czekać aż znajdę odpowiednią pracę" (także 35,9 proc.). Ponieważ istnieje sprzeczność między tymi możliwościami, należy więc przyjąć, że ponad 1/3 bezrobotnych absolwentów szkół wyższych wyraziła gotowość oczekiwania na możliwość zatrudnienia (prawie połowie badanych jeszcze przez pewien czas mogą udzielać pomocy rodzice aż do pełnego utrzymania włącznie), ale również ponad 1/3 akceptuje możliwość przynajmniej czasowej emigracji z przyczyn ekonomicznych i podjęcie prób znalezienia pracy za granicą. Oznacza to, że najbarmu życiowego ludzi znajdujących się u progu swego dorosłego, samodzielnego życia. Tylko nieco ponad 1/4 (27,6 proc.) wierzy w poprawę poziomu swego życia albo przynajmniej utrzymanie osiągniętego już standardu. Połowa bezrobotnych magistrów (49,7 proc.) nie potrafi wyobrazić sobie swej przyszłości w kategoriach optymistycznych („boję się w ogóle o tym myśleć").

Niewątpliwie pierwsze doświadczenia związane ze statusem bezrobotnego zadecydowały o tym, że prawie 3/4 objętych sondażem absolwentów łódzkich uczelni obawia się przyszłości albo wręcz jest pewna, że przyniesie ona pogorszenie warunków ich życia. Z tego punktu widzenia dość oczywiste staje się, jak już wspomniałem, że aż 35,9 proc., czyli połowa obawiających się swoją przyszłość zadeklarowała gotowość zarobkowego wyjazdu z kraju.

Z dyplomem ale bez pracy

dziej dynamiczni ludzie, nie godzący się na bierne oczekiwanie na zatrudnienie i posiadający wysokie kwalifikacje, chcą wyjechać z kraju.

Prawdopodobnie ci sami absolwenci, którzy zadeklarowali gotowość emigracji zarobkowej, byli również skłonni do wyjazdu z dotychczasowego miejsca zamieszkania, aby „gdzieś w Polsce" znaleźć pracę. Ponadto stosunkowo wielu było zwolenników zajęcia się drobnym handlem (30,3 proc.) oraz podjęcia innej pracy dorywczej poza handlem (25,5 proc.).

Ocena własnych perspektyw życiowych

Bezrobotni absolwenci łódzkich uczelni zapytani wprost – jak oceniają swoją przyszłość w perspektywie najbliższych trzech lat? – najczęściej wyrażali opinię „nie wiem co przyniesie przyszłość" (42,1 proc.), a tylko jeden z pięciu deklarował „wierzę, że poziom mego życia polepszy się". Blisko 1/4 absolwentów (22,8 proc.) pesymistycznie postrzegała swoją przyszłość, to znaczy uważali oni, że nastąpi pogorszenie warunków ich życia, przy czym połowa tej grupy wyraziła pogląd: „na pewno będzie mi się żyło gorzej i to zdecydowanie". Pozostali (po 7,6 proc.) sądzili, że w ich życiu w najbliższych trzech latach „nie nastąpią żadne szczególne zmiany" oraz bało się w ogóle myśleć o tym, co przyniesie przyszłość.

Oznacza to bardzo niski wskaźnik optymizmu życiowego ludzi znajdujących się u progu swego dorosłego, samodzielnego życia. Tylko nieco ponad 1/4 (27,6 proc.) wierzy w poprawę poziomu swego życia albo przynajmniej utrzymanie osiągniętego już standardu. Połowa bezrobotnych magistrów (49,7 proc.) nie potrafi wyobrazić sobie swej przyszłości w kategoriach optymistycznych („boję się w ogóle o tym myśleć").

Niewątpliwie pierwsze doświadczenia związane ze statusem bezrobotnego zadecydowały o tym, że prawie 3/4 objętych sondażem absolwentów łódzkich uczelni obawia się przyszłości albo wręcz jest pewna, że przyniesie ona pogorszenie warunków ich życia. Z tego punktu widzenia dość oczywiste staje się, jak już wspomniałem, że aż 35,9 proc., czyli połowa obawiających się swoją przyszłość zadeklarowała gotowość zarobkowego wyjazdu z kraju.

Bezrobotni absolwenci o bezrobociu

Ponad połowa młodych magistrów (54,5 proc.) uznała, że skoro ukończyli państwowe uczelnie, to rząd poprzez zajmujące się tym wyspecjalizowane instytucje powinien organizować zatrudnienie. Prawie 1/3 bezrobotnych magistrów (31,7 proc.) zgodnie z popularyzowaną w społeczeństwie doktryną neoliberalizmu wyraziła pogląd, że to ludzie sami muszą poszukiwać dla siebie pracy. Pozostali (13,8 proc.) uważali, że organizacją rynku pracy dla absolwentów powinny zajmować się biura pośrednictwa pracy przy organizacjach młodzieżowych i społecznych.

Zapytani wprost – co ich zdaniem powoduje bezrobocie? – pozostający bez pracy absolwenci UŁ i PŁ wymienili następujące przyczyny: niedorozwój gospodarczy kraju (41,4 proc.), a dalej w kolejności wskazań: zasady gospodarki kapitalistycznej (23,4 proc.), bezrobocie jest skutkiem komunistycznych rządów (20 proc.), wynikiem nieudolności rządu (6,9 proc.; chodziło wtedy o rząd T. Mazowieckiego, dziś odsetek ten byłby prawdopodobnie wyższy), odejściem od ideologii socjalizmu (5,5 proc.) oraz rezultatem braku szacunku dla człowieka (2,8 proc.).

Bezrobotni absolwenci UŁ i PŁ wypowiedzieli swoje opinie także i w kwestii – czy ich zdaniem bezrobocie w Polsce będzie się zwiększać oraz czy bezrobocie w Polsce będzie zjawiskiem stałym. W tej materii pozostający bez pracy magistrowie nie mieli złudzeń: 95,2 proc. uznało, że bezrobocie będzie przybierać na sile, a 89,7 proc. wyraziło przekonanie, że będzie to zjawisko trwałe w polskim życiu zbiorowym. Wydaje się, że uzyskane opinie świadczą o realistycznym sposobie postrzegania rynku pracy w Polsce i nieuleganiu pokusom myślenia życzeniowego.

Co dalej?

Zapoczątkowany w 1990 r. proces zmian w polskiej gospodarce oraz próby jej przekształceń strukturalnych wywołały w masowej skali zjawisko bezrobocia, które objęło również absolwentów szkół wyższych. Można się spodziewać, że w najbliższych latach będzie ono przybierać na sile, a to oznacza, że będzie się zwiększała liczba bezrobotnych młodych magistrów. Trudności te będą tym większe, im więcej ludzi z wyższym wykształceniem, którzy obecnie tracą i będą tracić pracę, na przykład w wyniku zwolnień grupowych lub likwidacji zakładów i instytucji, będzie poszukiwać zatrudnienia.

W związku z tym wydaje się niezbędne odejście od ciągle jeszcze wąsko specjalistycznego kształcenia w szkołach wyższych i przygotowywanie przyszłych absolwentów do pełnienia różnych ról zawodowych, co być może pozwoli im na względnie łatwiejsze znalezienie pracy. Jednocześnie uważam, że konieczne jest upowszechnienie w świadomości społecznej, przede wszystkim uczniów i studentów oraz ich rodzin, przekonania o autoteliczności wykształcenia na poziomie wyższym. Inaczej mówiąc studia mają dowartościowywać człowieka, rozwijać go w sensie intelektualnym, a zapewne i emocjonalnym, nie zaś tylko przygotowywać do konkretnego zawodu. To ostatnie stwierdzenie w większym stopniu odnieść należy do uczelni typu uniwersyteckiego niż innych szkół wyższych.

Pojawienie się w masowej skali bezrobocia w Polsce wymaga lepszego niż do tej pory zorganizowania wyspecjalizowanych państwowych, samorządowych i społecznych służb zajmujących się poradnictwem i organizacją rynku pracy. Służby takie, choćby na wzór znanego mi biura Pełnomocnika d/s Zatrudnienia Absolwentów UŁ i PŁ, powinny nie tylko informować i pośredniczyć w zakresie angażowania, ale również zabiegać o tworzenie interwencyjnych miejsc pracy.

Działania takie będą mogły jedynie łagodzić sytuację bezrobotnych absolwentów i zapewne nie spowodują ani zaniku, ani nawet znacznej redukcji samego zjawiska bezrobocia. Może to nastąpić tylko w warunkach rozwoju gospodarczego, zwiększonego zapotrzebowania na działalność produkcyjną i usługową oraz wzrostu zamożności społeczeństwa.

Grzegorz Matuszak

UWAGI SCEPTYKA

Wiara i polityka

Swoim felietonem „Nie chcę, ale muszę!", poświęconym odnotowaniu tendencji do podporządkowania życia politycznego i społecznego w Polsce wpływom duchowieństwa i Kościoła („Odgłosy" nr 5), wywołałem polemiczną wypowiedź ks. Waldemara Kulbata „Czy grozi nam widmo klerykalizmu?" („Odgłosy" nr 9) oraz ponaglenie do dyskusji w liście opublikowanym w poprzednim numerze „Odgłosów". Mój Polemista sądzi, że bynajmniej nie ma żadnej groźby klerykalizmu oraz zarzuca mi, cytując biskupa Adama Lepę, iż tacy jak ja „chętnie widzieliby Kościół w rezerwacie".

Muszę zatem jeszcze raz przedstawić swój punkt widzenia, który najkrócej można ująć następująco: owszem, widmo klerykalizmu wcale nie jest wydumane i w dużej mierze już się ono zmaterializowało.

Z triady Bóg – Kościół – kapłani wyłączmy Boga, bowiem istota rzeczy dotyczy spraw bardzo ziemskich, by nie powiedzieć przyziemnych – władzy, wpływów i związanych z nimi beneficjów materialnych i niematerialnych. Nie uchodzi Bóstwa mieszać w takie sprawy. W przeciwnym razie stworzymy sytuację co najmniej niezręczną, taką jak dwie wrogie sobie, prawowierne armie, szykujące się do bitwy i zanoszące modły o zwycięstwo. Myślę, że Bóstwo w takiej chwili wyraża Najwyższą Opinię być może słowami – nie mieszajcie mnie do swoich brudnych interesów, róbcie co chcecie i nie używajcie mego imienia bez naprawdę ważnego powodu.

A czyż nie jest nadużywaniem Boga i religii owo nagminne, koniunkturalne święcenie plaż i aresztów, banków i sklepików, w których będzie się kantować klientów (już starożytni kupców i złodziei przyporządkowali jednemu opiekunowi – Hermesowi), odgórne organizowanie nabożeństw i pielgrzymek wojska i policji, wojewodów i urzędników państwowych oraz uprawianie w kościołach nader uproszczonej propagandy politycznej? Co sądzić o żenujących wiecach przy kościele św. Brygidy w Gdańsku, na których tamtejszy proboszcz występuje jako kto – mentor polityczny czy duszpasterz? Myślę, że Chrystus gdyby znów pojawił się, to w Polsce miałby bardzo dużo pracy z wypędzaniem rozmaitych przekupniów profanujących sacrum miejsc przeznaczonych na kontakt z Bóstwem. Ze zdumieniem przyjąłem poprawkę do ordynacji wyborczej zezwalającą na to, aby kościoły służyły agitacji i walce politycznej w kampanii wyborczej. Jako człowiekowi indyferentnemu religijnie być może nie wypada mi wypowiadać się w tej sprawie, zresztą nie jest to moje zmartwienie, ale uważam, że instrumentalne wykorzystywanie miejsc kultu i religii do spraw niewiele wspólnego mających z Bogiem jest nadużyciem, którego nie mogę akceptować.

Podejmując problem klerykalizacji życia społecznego, chcę skupić się na dwóch pozostałych członach wspomnianej triady: Kościele i kapłanach. Kościół, tak jak ja to pojmuję, jest wspólnotą powstałą na gruncie światopoglądu, wiary i kultu, organizującą ludzi wierzących w sprawach transcendentnych, ale także dotyczących moralności i zasad postępowania motywowanych czynnikami nadprzyrodzonymi. Tak jak każda organizacja, również Kościół posiada swoich funkcjonariuszy – kapłanów, duchownych, czyli, jak to dowcipnie zostało nazwane w pamiętnym kabarecie Olgi Lipińskiej, naziemny personel Pana Boga.

Dopóki organizacja, jej funkcjonariusze i członkowie zajmują się zadaniami, dla których ta organizacja została utworzona i nie próbują ingerować w sfery działania innych organizacji, sprawa jest oczywista. Ale jeśli, obojętne Kościół czy partia polityczna, która też jest organizacją, ingerują lub starają się podporządkować sobie całość życia zbiorowego, to wtedy mamy do czynienia z dysfunkcjonalnością układu społecznego. W przypadku Kościoła i duchowieństwa zjawisko to nosi nazwę właśnie klerykalizmu.

Współcześnie wszędzie w świecie występującą organizacją społeczną jest państwo, którego głównymi atrybutami są: powszechność (obejmuje wszystkich ludzi znajdujących się na jego terytorium), przymusowość (nikt nie może dowolnie decydować o swym istnieniu poza państwem), suwerenność wewnętrzna i zewnętrzna, prawo do zastosowania przemocy oraz organy prawodawcze, wykonawcze i kontrolne. Państwo obejmując więc wszystkich, niezależnie od światopoglądu, przynależności kościelnej lub partyjnej, wykształcenia, stanu majątkowego, rasy, pochodzenia itp., nie może być, podkreślam, że ja to tak widzę, podporządkowane wpływom i stać się własnością tylko jednego światopoglądu, jednej ideologii, jednego Kościoła czy jednej partii.

Tu zapewne moi oponenci użyją argumentu, że chcę „zamknąć Kościół w rezerwacie" i odmawiam mu wpływu na kształtowanie państwa, prawa i warunków życia zbiorowego. Rozumiem temperament polityczny „urzędników Pana B." i szeregowych członków Kościołów, pragnę przy tym się zastrzec, że nie mam na myśli tylko jednego Kościoła czy wyznania. Mają oni pełne prawa obywatelskie i mogą je realizować poprzez przyjęte we współczesnym świecie demokratyczne procedury powoływania i uczestnictwa w partiach i ruchach politycznych oraz ubiegania się o wpływy i udział w sprawowaniu władzy.

Duchowny, jeśli chce być politykiem, to jednak powinien oddzielić swoje kapłaństwo od uprawiania polityki. Nie chodzi przy tym o jakikolwiek kamuflaż, ale o jasne rozróżnienie pola działania. Ignacego Krasickiego, który był biskupem a nawet prymasem, cenimy nie za jego kapłaństwo, ale za dokonania poetyckie. Podobnie ma się sprawa z Kopernikiem, Staszicem, Kołłątajem i innymi zasłużonymi duchownymi z naszej historii. Dziś jakże często trudno jest rozróżnić – agitator to wiecowy w szatach kapłana czy sługa boży troszczący się o zbawienie wiernych, którzy widzą w nim pośrednika w kontaktach z Bogiem.

Jeśli Kościół jako organizacja stara się opanować państwo, a kler wykorzystuje religię, uczucia wiernych oraz własną pozycję w Kościele do politycznych celów, to mamy do czynienia właśnie ze zjawiskiem klerykalizmu. „Słownik języka polskiego" definiuje je jako dążność do poddania pod decydujący wpływ duchowieństwa rządów i spraw polityczno-kulturalnych w państwie.

Myślę, że wystarczy choćby tylko pobieżna obserwacja życia w Polsce w 1991 r., aby skonstatować, że klerykalizm nie jest fantasmagorią, ale realnym faktem. A wraz z nim wraca zasada przyjęta w 1555 r. w czasie Pokoju Augsburskiego – cuius regio, eius religio, czyli religia panującego obowiązuje również poddanych. Z uzasadnionego protestu przeciwko tej zasadzie zrodziły się, obowiązujące w demokratycznym, cywilizowanym świecie, koncepcje uznania religii jako sprawy prywatnej każdego człowieka oraz oddzielenia Kościoła od państwa, co bynajmniej nie oznacza jakiegokolwiek ograniczania lub prześladowania, ani także uprzywilejowania i wierzących, i niewierzących. A zjawisko klerykalizmu jest smutnym symptomem poplątania sfery wiary i polityki oraz zapomnienia o jednej z ważnych nauk Chrystusa: oddajcie co cesarskie cesarzowi, a co boskie Bogu.

Jan Wolborski

PREZENTACJE

Marek Miller

„Tu w Łodzi wszyscy wszystko mają za złe i wszyscy wszystko niszczą".

To oskarżycielskie zdanie nabiera sensu, gdy ktoś zna bliżej Marka Millera, zakochanego w Łodzi i z uporem starającego się „coś zbudować". Nawet już nie chce mieć racji, chce być tylko szczęśliwy, a tylko pozostawienie po sobie trwałego śladu może mu dać zadowolenie.

Wyrastał na granicy Polesia i Bałut. Matka była krawcową, obszywała potajemnie pół ulicy, ojciec, pracownik zakładów Poznańskiego boksował w fabrycznej drużynie.

Marek Miller nie miał takich tęsknot sportowych. Ze zdumieniem zauważył, że kiedy coś opowiada, to słucha go całe podwórko. Dar słowa przydał mu się w szkole, zwłaszcza gdy nie przeczytał jakichś obowiązkowych lektur: zmyślał wtedy treść książki i było to na tyle zajmujące, że zazwyczaj unikał dwójki.

Rodzice posłali go do Technikum Elektrycznego: chcieli, aby naprawiał telewizory. Miało mu to przynieść lekki i grubo posmarowany chleb. Z dyktand dostawał wiecznie dwóje, słaby też był z matematyki, ale jego teksty drukował harcerski tygodnik „Na przełaj". Wygrał także konkurs na recenzję roku ogłoszony przez Muzeum Sztuki w Łodzi. Błędy ortograficzne nie przeszkodziły mu w napisaniu sztuki pt. „Drzazga", którą sam wyreżyserował. Aktorami byli jego koledzy, a producentem Hufiec Harcerski.

Oblanie matury zamknęło przed nim drogę na wyższą uczelnię. Dzięki protekcji został jednak słuchaczem Studium Kulturalno-Oświatowego przy ŁDK, chciał po prostu uniknąć służby wojskowej. Dzięki temu łyknął trochę psychologii, socjologii, literatury powszechnej. Wykładowcami byli nauczyciele akademiccy.

Po ukończeniu studium zdał na socjologię. Zaczął współpracować z „Odgłosami" i ta praktyka dziennikarska ułatwiła mu napisanie pracy magisterskiej zatytułowanej „Reporterów sposób na życie", która potem stała się jego pierwszą książką. Poznał wtedy i sportretował czołówkę polskich autorów uprawiających literaturę faktu. Wielkie wrażenie wywarli na nim zwłaszcza Ryszard Kapuściński, Krzysztof Kąkolewski i Hanna Krall.

Jeszcze na studiach znalazł stałą pracę w „Wiadomościach Produkcyjnych", pisywał wszakże także poza macierzystą redakcją. Znalazł się w zespole „Odgłosów" w najlepszym okresie ich istnienia (1981 r.). Był ostry, mimo zelżenia cenzury, kilka jego tekstów zostało „zdjętych" decyzją tego wszechmocnego urzędu.

Z grupą młodych kolegów zorganizował tzw. Pracownię Reportażu. Kolektywnie zbierali materiały o zachowaniu się wysłanników różnych redakcji w Stoczni Gdańskiej podczas sierpniowego strajku, który zmienił oblicze Polski. Z książką „Kto tu wpuścił dziennikarzy?" mogli się zapoznać najwcześniej słuchacze Radia Wolna Europa. Ukazała się ona także w podziemiu nakładem „Nowej".

Był stan wojenny. Kosztowało go to utratę pracy w „Radarze". Na szczęście zaczepił się w szkole filmowej, gdzie jest zatrudniony do tej pory u prof. Karabasza. Wznowiła tam działalność Pracownia Reportażu, tym razem dokonując rejestracji na taśmie wideo. Powstają także wywiady z wybitnymi ludźmi filmu związanymi ze szkołą.

Miał jeszcze krótki epizod dziennikarski w „Kalejdoskopie". Kiedy go stamtąd wylali, założył własną gazetę – ogólnopolski miesięcznik „Bestseller". Pomocy udzielił rektor, miasto i Ministerstwo Kultury, ale miesięcznik wspierany jest głównie przez prywatnych sponsorów z kręgu artystycznego.

Trzeba mieć upór Marka Millera, aby każdą utratę stałego zajęcia kwitować nowym wyzwoleniem twórczej energii. Tym właśnie jest coraz lepszy „Bestseller" poświęcony sztuce, nauce i kulturze.

Ale rzeczą najważniejszą w życiu jest dla niego córeczka Ania. Właśnie skończyła rok i cztery miesiące. Jest jeszcze doskonalsza niż „Bestseller".

K.F.

Ogłoszenia drobne w „ODGŁOSACH”

„Odgłosy” począwszy od numeru 10 (28 lipca 1991 r.) wprowadzają na swoje łamy kolumnę ogłoszeń drobnych.

Cena za jedno słowo

3.000 zł

Stosujemy bonifikaty!

Przy 5 ogłoszeniach – 8%,
przy 10 ogłoszeniach – 10%,
przy 15 ogłoszeniach – 12%,
przy 20 ogłoszeniach – 14%,
przy 25 ogłoszeniach – 20%,
przy 30 ogłoszeniach – 22%,
przy 35 ogłoszeniach – 24%,
przy 40 ogłoszeniach – 26%,
przy 45 ogłoszeniach – 28%,
przy 52 ogłoszeniach – 33% zniżki!

Ogłoszenia przyjmowane są w:

– siedzibie redakcji ul. Sienkiewicza 3/5 XI piętro pok. 1104 tel. 36-52-44

– „Gazecie Reklamowej” ul. Sienkiewicza 11/13 tel. 33-18-19

– Tygodniku „Angora” ul. Piotrkowska 94 I piętro pok. 11 tel. 32-61-79

– Biurze Ogłoszeń al. Kościuszki 41 tel. 33-23-28

– Biurze Reklam i Ogłoszeń ul. Sienkiewicza 3/5 tel. 33-11-50

UWAGA:

– ogłoszenia zawierające ofertę kupna lub sprzedaży przyjmowane są tylko pod warunkiem podania ceny wstępnej zakupu lub sprzedaży.

Pamiętaj!
Ogłoszenie
w „Odgłosach”
żyje cały tydzień!

SPRZEDAŻ

● SIMCA 1006 1s rocznik 1978 zarejestrowana, sprawna – sprzedam za 6 mln. Tel. 72-39-90 po 17[00].
● Dywan wełniany 2x3m sprzedam telefon 74-33-67.

USŁUGI

● WYPOŻYCZALNIA wideoodtwarzaczy 51-42-10.
● Lodówki, zamrażarki, lady, chłodnie NAPRAWIAM inż. Hajdrych, 32-76-19, Więckowskiego 40.
● NAPRAWA magnetowidów, tel. 57-55-80.
● WIDEOFILMOWANIE 87-05-72.
● WIDEOFILMOWANIE 51-92-29.
● WIDEOFILMOWANIE „Focus” 34-11-57.

MOTORYZACYJNE

● HOLOWANIE 86-02-12.

NIERUCHOMOŚCI

● Agencja mieszkaniowa „Interlocum” – POŚREDNICTWO, kupno-sprzedaż mieszkań, nieruchomości, wynajmy, porady prawne, ul. Piotrkowska 94, tel. 32-31-42.

Obiegowa opinia z USA: Polacy mają wrodzony antysemityzm

Cd. ze str. 1

w Europie, interesować się światem. Jego interesuje tylko Ameryka. A przy tym warto wiedzieć, że Amerykanie bardzo lubią Lecha Wałęsę, bo jest to dla nich nowe ucieleśnienie starego mitu.

– Mitu o pucybucie, który został milionerem?

– Tego samego, tylko w innym wydaniu. To jest elektryk, który został prezydentem. I dlatego go wszyscy kochają. Dla robotnika jest to bowiem facet, który zarobił sobie awans. Dla działaczy związków zawodowych, a tam związki zawodowe tracą wpływy, jest to przywódca związkowy, którego związek osiągnął sukces, a on sam został ojcem narodu. Dla amerykańskich konserwatystów jest to człowiek, który obalił komunizm. Dla tamtejszych liberałów jest to człowiek, który stworzył szansę na odnowienie się nowej formy kierunku socjaldemokratycznego, który tam się nazywa liberalnym lub humanitarnym.

– A dla amerykańskiej kobiety?

– To ojciec rodziny i to w starym stylu, jaki pokazywały filmy hollywoodzkie z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

– I jest to zjawisko powszechne?

– Nie. Można to określić tak: im bardziej na południe i do centrum Ameryki, tym popularność Lecha Wałęsy jest większa. Natomiast w pasie północno-wschodnim tó się osłabia. Tam bowiem silne jest przekonanie, że Polacy mają antysemityzm wrodzony. Tam, jako prawda obiegowa, funkcjonuje przekonanie, iż Adolf Hitler dlatego umieścił obozy koncentracyjne na terytorium polskim, że Polacy pomagali mu mordować Żydów, że antysemityzm jest cechą narodową Polaków. W najłagodniejszej formie wygląda to tak, że mówi się, że w czasie drugiej wojny światowej naziści mordowali Żydów w Polsce, ale już ustalenie, kim byli naziści, stanowi problem.

– Ale przecież Lech Wałęsa w USA spotkał się z Żydami. Czy to nie zmieniło ich spojrzenia na Polaków?

– To było udane spotkanie i sporo niechęci odblokowało. Z tym, że było różnie przyjęte. Polonia denerwowała się tym, że prezydent powiedział, że nie jest Żydem a chciałby być Żydem. Amerykanie, którzy nie mieli nic wspólnego z żydowskim pochodzeniem, uznali to za świetne zagranie. Żydzi potraktowali to, jako udane oświadczenie polityczne. Tylko że za chwilę wynikł nowy problem, który wszystko zniweczył.

– Co się stało?

– Lech Wałęsa pojechał do Izraela. Swego czasu na łamach „Odgłosów” wyraziłem sporo zastrzeżeń wobec Lecha Wałęsy, choć z upływem czasu mój stosunek do niego zmienił się. Zastanawiałem się więc, tam w USA, czy Lech Wałęsa nie popełnił wielkiego błędu, gdy przeczytałem, że w Knesecie przepraszał Żydów za udział narodu polskiego wspólnie z Niemcami w eksterminacji Żydów. Byłem tą wiadomością wstrząśnięty.

– Tak to za oceanem przedstawiono?

– Właśnie tak. I bardzo długo trwało, nim sprawa została odkłamana. Nie znaliśmy oficjalnego tekstu przemówienia w Knesecie. Nie było tego tekstu w konsulatach. Polonia amerykańska byłaby zadowolona, gdyby dostała taki tekst w jakimkolwiek języku, tam ludzie znają różne języki i byliby tekst przetłumaczyli. Dopiero w ostatnim dniu pobytu w Nowym Jorku, w przeszło miesiąc po przemówieniu Lecha Wałęsy w Knesecie, jedna z gazet polonijnych opublikowała ten tekst i to był oddech ulgi.

– Jakie były reakcje na tę wiadomość, zanim ukazał się oficjalny tekst przemówienia Lecha Wałęsy?

– Kiwano obłudnie głowami niby to z uznaniem, że to bardzo ładnie ze strony naszego prezydenta, że się do tego przyznał. Uznano, że tak było, że to fakt. Wiele różnych środowisk polonijnych słało do Warszawy protesty.

– Czy dotarły do was informacje o wiecach Lecha Wałęsy pod kościołem św. Brygidy w Gdańsku i jakie spowodowały reakcje?

– Jako konflikt między robotnikami a intelektualistami. Henry Kissinger wylansował tam tezę, że Polska może liczyć na dużą pomoc świata, jeśli robotnicy z Gdańska pogodzą się z intelektualistami z Warszawy. Słowem spór wewnętrzny, w istocie polityczny, stał się wedle tej tezy, sporem niemalże klasowym. A my przecież wiemy, że taki sam robotnik z Jarosława Kaczyńskiego, jak i z Bronisława Geremka i że wcale nie o to chodzi.

– Wynika z tego, że przenoszą się tam polskie konflikty.

– Owszem. Gdyby mogła się pani jakimś cudem przenieść do Jackowa...

– Przepraszam, a co to jest?

– Tak się nazywa część polskiej dzielnicy w Chicago. Jackowo – od tamtejszej parafii. I Rada Miejska Chicago nadała oficjalną nazwę: Polish Village Jackowo. Więc załóżmy, że jesteśmy już w Jackowie i wchodzimy do sklepu, gdzie sprzedają „best polish kielbasy in America”, to obok na ladzie zobaczyłaby pani zestaw polskich gazet konkurencyjnych w stosunku do tego, co ma pani w kioskach na dworcu Łódź – Fabryczna.

– Czy mam rozumieć, że takie same?

– Może ze dwie takie same, reszta to gazety wydawane po polsku w USA. Na różnym poziomie i różną techniką. Od prymitywnej, „powielaczowej” po komercyjne, drukowane na wysokim poziomie poligraficznym. Chodzi o zestaw informacji z kraju. Podobnie jest w polskim radiu.

– Dużo jest tam polskich rozgłośni?

– Jest ich kilka, ale dwie są duże. Jedną z nich finansuje Kongres Polonii Amerykańskiej albo Związek Narodowy Polski. Te dwie instytucje połączone są unią personalną. Prezes Związku Narodowego Polskiego był zawsze prezesem Kongresu Polonii Amerykańskiej. Przy czym – wbrew oczekiwaniom – Polski Związek Narodowy nie jest organizacją polityczną, ale najstarszym polskim przedsiębiorstwem ubezpieczeniowym, które w sposób poważny i zasadniczy finansuje Kongres Polonii Amerykańskiej. Ta radiostacja ma 12 godzin programu dziennie.

Druga radiostacja należy do dwuosobowej spółki, w której jednym z partnerów jest Andrzej Czuma, brat Benedykta. Jest to dynamicznie działająca radiostacja. Obie działają w oparciu o serwis z Polski.

– Ale można się było też natknąć na zupełnie niespodziewane reakcje?

– Na jednym moim spotkaniu jeden z uczestników po słowach: – czy to się komuś podoba czy nie Lech Wałęsa jest prezydentem RP, podniósł się i wyszedł. Był to wydawca jednej z polskich gazet, który zapytał mnie, dlaczego uważam, że wybór Lecha Wałęsy na prezydenta był prawidłowy i legalny. Jego zdaniem nie, bo powinien się dokonać w oparciu o Konstytucję z 1935 roku. Spotkałem się też ze zdaniem, że prezydent Wojciech Jaruzelski był jednak człowiekiem statecznym i patriotą, który przy pomocy stanu wojennego uratował Polskę.

– Skrajności zdarzają się wszędzie.

– Tak. Ale u nas w Polsce przejścia między jednymi a drugimi są płynne. Tutaj można wyczuć, jak się sympatie polityczne układają. Tam tego nie ma. Wprawdzie, jak Lech Wałęsa przyjechał do Chicago, to zwaliły się tłumy i dumni z jego wizyty w USA byli również jego przeciwnicy, ale tak dzieje się tylko w szczególnych momentach.

Poza tym, po pewnym czasie dopiero zrozumiałem, że interes ekonomiczny Polonii jest inny niż cele polityki gospodarczej w Polsce. I to też było powodem dla tolerancji w stosunku do tamtejszych Polaków.

– Czy należałoby zatem rozumieć, że nie mamy co liczyć na inwestycje Polonii w Polsce?

– Chicagowska Polonia to nie jest ten poziom biznesu, który może myśleć o kontaktach gospodarczych z krajem. Oni są nierozerwalnie spojeni z tamtejszymi środowiskami. Na przykład jest tam – najbogatszy chyba Polak w Chicago – pan Bacik. Jego firma produkuje polskie kiełbasy, ale on poza Chicago nie będzie funkcjonował. Andrzej Czuma robi w Chicago dużą karierę, ale jego radiostacja poza Chicago również nie ma racji bytu. Ale ogólna prawidłowość jest taka, że ludzie, którzy stabilizują się zawodowo i finansowo wynoszą się z dzielnic polskich i często rozluźniają kontakty z polskimi środowiskami. Najwyżej przyjeżdżają do polskich parafii święcić jajka na Wielkanoc, bo jest to zwyczaj w innych środowiskach amerykańskich nie znany. Starsza emigracja utrzymuje kontakty poprzez Instytut Romana Dmowskiego, Instytut Władysława Sikorskiego, Instytut Józefa Piłsudskiego, poprzez Kongres Polonii Amerykańskiej, poprzez stare polskie parafie. Kontakty między sobą utrzymuje emigracja postsolidarnościowa. Ale to się wszystko jakoś rozluźnia. Część ludzi zaczyna wrastać w grunt amerykański, część ciągle jeszcze myśli o powrocie do Polski. Co zarobili, chcieliby to przywieźć. Ale reformy w Polsce im to uniemożliwiają.

– Czy mógłby pan to wyjaśnić?

– Proszę sobie wyobrazić człowieka, który w 1989 roku stanął wobec alternatywy: wracać z tym, co już mam, czy popracować jeszcze rok i więcej zarobić? Postanowił zarobić. Został. W Polsce tymczasem nisko ustawiono kurs dolara i dolar spadał razem ze złotówką. Gdyby wrócił w 1989 roku ze swoimi 30 tysiącami dolarów byłby potentatem. Teraz staje wobec tego, że metr kwadratowy mieszkania w blokach kosztuje najmniej 3 miliony zł. I on wie, że przez ten rok, kiedy ciężko pracował w USA i wydawało mu się, że zarabiał, to w rzeczywistości tracił. Takich ludzi w USA jest sporo.

– Powtarza pan ciągle, że tam się pracuje ciężko.

– Bardzo ciężko. Wielu Polaków pracuje na czarno. Amerykanie jakoś to tolerują. Co to znaczy na czarno? Ano na przykład sędzina z Polski jest kelnerką. Mieszkałem jakiś czas u inżyniera agrotechnika, który był monterem urządzeń sanitarnych. Człowiek pracujący legalnie ma za godzinę pracy 7 lub 8 dolarów, pracujący nielegalnie 3,5 lub 4 dolary. Nie ma żadnych praw ani ochrony. Pewien Polak tłumaczył mi, że do cyjanku potasu też się można przyzwyczaić. On jada śniadanie na beczce z cyjankiem potasu i nic się mu nie stało. Inny zachwala maseczkę z gazy, która ma rzekomo chronić przed pyłem azbestowym. Nieszczęście polega na tym, że on w Polsce też pracował w azbeście i wie, jaka powinna być maska, która rzeczywiście chroni przed pyłem azbestowym.

– A jak adaptuje się do nowych warunków najmłodsza polska emigracja, ta z lat osiemdziesiątych?

– To jest w ogóle ewenement na skalę amerykańską. Jest to pierwszy przykład emigracji, która w pierwszym pokoleniu przebiła się do amerykańskiej klasy średniej, a niektórzy do wyższej. Są to ludzie dobrze wykształceni, dynamiczni, którzy się w polskich warunkach stanu wojennego nie mogli odnaleźć. Na przykład były przewodniczący „Solidarności” z Kutna jest szefem małej firmy konsultingowo-komputerowej w Kalifornii. Przewodniczący „Solidarności” z Katowic jest cenionym menedżerem w przemyśle samochodowym, a Andrzej Wrotniak z Uniwersytetu Łódzkiego jednym z najwyżej cenionych programistów firmy, która pracuje jako subkontraktor dla NASA. Właściwie, kto wyjechał z Polski mając wykształcenie i znając język, ten szybko się w USA już urządził. Dla nas jest w tym też interes, bo USA to mocarstwo światowe, w którym oparcie nam nie zaszkodzi.

Rozmawiała:

Bogda Madej

Dlaczego Amerykanie kochają Lecha Wałęsę

Rozmowa z Jerzym Kropiwnickim

– Czy trzeba mieć duże pieniądze, aby założyć stację radiową w USA?

– Nie. U nas właścicielem radiostacji jest łączność. Polskie Radio dzierżawi tę radiostację. Tam właściciel ma budynek, aparaturę, antenę i pasmo. Na przykład „Pomost” – dziś mała organizacja, a kiedyś znaczna – dzierżawi godzinę programu w niedzielę. Kosztuje ich to 300 dolarów miesięcznie czyli od 60 do 75 dolarów za godzinę w zależności ile niedziel jest w miesiącu. Ich zmartwienie polega na tym, aby przy pomocy ogłoszeń zdobyć te 300 dolarów. Nagrywają program godzinny na kasetę, przynoszą do studia, właściciel wkłada kasetę do magnetofonu i program leci.

– A gdyby mnie stać było na więcej niż na godzinę programu?

– To już potrzebny jest specjalista, który program poprowadzi. Najczęściej stosuje się formułę „otwartego mikrofonu”. Są to bardzo popularne programy. Pod warunkiem, że prowadzący jest rzeczywiście indywidualnością dziennikarską. Zagaja temat, dzwonią słuchacze, to wszystko jest oprawione muzyką.

– W Polsce coraz więcej takich programów radiowych. Widać, że wzorujemy się na programach amerykańskich. A jaki obraz Polski pokazują polonijni dziennikarze?

– Ostry i bez półtonów. Wszystko, co dzieje się w Polsce jest tam prezentowane. Ale dość krańcowo, nie ma tam stanów pośrednich. Są tam na przykład ludzie, dla których w Polsce nadal rządzi komuna, a Lech Wałęsa jest agentem sowieckim i zdrajcą. Są i tacy, którzy uważają, że najlepiej w Polsce było za rządów Wojciecha Jaruzelskiego.

– Czyli od ściany do ściany.

– Ale te ściany mają inne wymiary niż w Polsce. Kiedyś były tam przedłużenia różnych politycznych ugrupowań z Polski. I choć w Polsce sytuacja się zmieniła, tam jakby skamieniała. Są ludzie, którzy dadzą się pokroić w kawałki za Tadeusza Mazowieckiego, ale są i tacy, którzy dadzą się pokroić za Kornela Morawieckiego.

– Czyżby on tam był bardziej popularny niż w Polsce?

– Tak. Ma tam swoją organizację. Na przykład w chicagowskim Jackowie jest ulica, która ma kilka kilometrów i tam istnieją wszystkie warstwy życia politycznego Rzeczypospolitej. Jest to mieszanina podzielona nie tylko politycznie, ale też czasem, czyli datami przyjazdu. Na przykład niektórzy dotąd nie przekroczyli progu konsulatu PRL, gdyż kiedyś protestowali z różnych okazji pod tym konsulatem. Dziś ich zdaniem jest to nadal ekspozytura okupanta Polski.

Wiele zależy od tego, kiedy im czas się zatrzymał. Są więc ludzie, którym czas stanął w 1982 roku, albo w 1983 czy 1984. Są i tacy, którzy kontynuują spory II Rzeczypospolitej – spory Dmowskiego z Piłsudskim, Piłsudskiego z Witosem.

– Jak pan się w tym wszystkim orientował?

– Miałem ciepły stosunek do tych ludzi, niezależnie od tego jak dalece nie zgadzałem się lub zgadzałem się z ich poglądami. Zakładałem, że jeśli ktoś mimo tego, że ciężko pracuje, a tam się naprawdę ciężko pracuje, ma jeszcze czas i chęć, aby się zajmować polskimi sprawami, to już jest dobrze. I to trzeba cenić.

Zakwestionowane artykuły sprzedawane są na bazarach po zaniżonych cenach

Egzamin z chemii

Zgodnie z zarządzeniem ministra zdrowia i opieki społecznej z dnia 3 stycznia 1972 r. każda partia importowanej do Polski żywności musi uzyskać atest naszych służb sanitarnych o braku zastrzeżeń co do jakości zdrowotnej produktu. Oznacza to, że wszyscy importerzy mają obowiązek zgłosić i przedstawić do analizy san.-epid. każdą partię wwożonego towaru. W zależności od rodzaju żywność poddawana jest dokładnej analizie laboratoryjnej lub testom organoleptycznym przeprowadzanym na miejscu, kontrolowany jest sposób przetransportowania, składowania, przeprowadza się testy na nieszkodliwość opakowań.

O dopuszczeniu na rynek produktu decydują dane recepturowe – skrupulatnej kontroli poddawana jest zawartość produktu. Każdy składnik, który nie znalazł się w wykazie *„substancji dodatkowych dozwolonych i zanieczyszczeń technicznych w środkach spożywczych i używkach"* opracowanym przez Ministerstwo Zdrowia, od razu dyskwalifikuje produkt. Do substancji zabronionych na naszym rynku należą syntetyczne barwniki (np. azorubina, tlenek tytanu, erytrozyna), emulgatory, sztuczne substancje słodzące (sacharyna, sorbit, aspartan), przeciwutleniacze (BHT), kwasy mineralne (np. kwas ortofosforowy).

Wszystko to są związki chemiczne. Naturalnie, jednorazowe ich spożycie nie będzie miało zgubnych skutków dla zdrowia, należy mieć jednak świadomość, że substancje te posiadają zdolność kumulowania się w różnych narządach i będą wchodzić w reakcje z innymi związkami, w nieprawidłowy sposób uaktywniać enzymy, stwarzać poważne zagrożenie rakotwórcze.

W pierwszej połowie 1991 r. Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Łodzi zgłoszono 1298 dostaw do magazynów na terenie województwa. Należy podkreślić, że jest to partia towaru ujawnionego, zadeklarowanego i przedstawionego do kontroli. Trudno określić jak dużo żywności i innych produktów użytkowych omija obowiązkowe badania. Na podstawie testów laboratoryjnych zakwestionowano 7,7 proc. próbek i wydano 72 decyzje o zakazie wprowadzenia produktu do obrotu handlowego. Zdyskwalifikowano 4 partie towaru za nieprawidłowe cechy organoleptyczne i 6 partii porażonej szkodnikami kawy.

Generalnie artykuły mogą być zakwestionowane z dwóch powodów: ze względu na zawartość substancji niedozwolonych oraz z powodu ich zanieczyszczenia lub zepsucia. Zdarza się, że właściciele towarów, którym lokalny san.-epid. odmówił wydania atestu, odwołują się od tej decyzji. W niektórych przypadkach jednorazową zgodę na dopuszczenie do handlu danego produktu może wydać główny inspektor sanitarny w randze ministra.

Bywa że san.-epid. wydaje pozwolenie na obrót, idąc na rękę niefortunnemu właścicielowi. Tak było na przykład z importerem w Koszalinie, który zarzekał się, że sprowadził tylko 2 tys. sztuk pewnego towaru. Uzyskał warunkową zgodę na sprzedaż jedynie na terenie tamtego województwa. Łódzki san.-epid. w jednym sklepie przy ul. Piotrkowskiej odnalazł aż 11 tys. (!) sztuk tego produktu nieświadomie zakupionego od nieuczciwego dostawcy. A ile jest jeszcze w innych miastach?

Dopełnienie obowiązku uzyskania atestu zależy niestety od dobrej woli i uczciwości importera. San.-epid. nie jest w stanie tropić po całym kraju niedozwolonych produktów. Bada to, co zostaje mu zgłoszone. Nie na wiele też zdają się kontrole. Wiadomo, że zakwestionowane artykuły trafiają na bazary i są sprzedawane naiwnym, nieświadomym klientom po konkurencyjnie niskich cenach. Ukrócenie tego procederu jest praktycznie niewykonalne. PIH, san.-epid., straż miejska nieustannie sprawdzają targowiska mając do dyspozycji maksymalnie 200-tysięczne mandaty. Mimo policyjnej eskorty bywają bezsilni. Bazary rządzą się własnymi prawami i potrafią skutecznie bronić się przed nieproszonymi gośćmi, mają sposoby na oszukanie „intruzów". Nieco łatwiej jest wyłowić skierowane do sprzedaży zakwestionowane produkty w sklepach, ale w końcu ile razy w roku można skontrolować każdą placówkę? Niedawno san.-epid. udostępnił gazetom listę artykułów, które znalazły się na cenzurowanym. Zrobiła się z tego mała afera – hurtownicy podnieśli krzyk, że taka antyreklama przynosi szkodę ich interesom, grozili sądem.

Nasuwa się pytanie, czy nasze przepisy sanitarne nie są zbyt surowe. U wielu osób budzi zdziwienie fakt, że w Polsce kwestionuje się zdrowotną wartość artykułów, które na Zachodzie są uważane za dobre i powszechnie spożywane.

„Nie jest prawdą – mówi dr Zofia Kuźmicz-Brodzińska, kierownik Działu Higieny Żywności, Żywienia i Przedmiotów Użytku Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Łodzi – *że trafia do nas identyczna żywność z tą jedzoną na Zachodzie. W krajach EWG kontroluje się tylko produkty przeznaczone na rynek wewnętrzny, nikt nie jest zainteresowany atestami towarów idących na eksport. Nasze środowisko jest wystarczająco skażone, nie powinniśmy jeszcze dodawać sobie substancji, które po badaniach naukowych uznano za szkodliwe dla organizmu".*

Od dwóch lat obserwujemy żywiołowy rozwój importu żywności do Polski. Handlem produktami spożywczymi często zajmują się osoby nie mające o tym żadnego pojęcia, nie znające obowiązujących przepisów. Większości naszych biznesmenów zależy tylko na tym, by kupić towar maksymalnie atrakcyjny po jak najniższej cenie. O atrakcyjności często decyduje efektowne opakowanie, zawartość jest sprawą trzeciorzędną.

„Fakt, że towar pochodzi z Niemiec czy innego kraju zachodniego – kontynuuje dr Z. Kuźmicz-Brodzińska – *jeszcze nie oznacza, że dany produkt jest zdrowy. Nie zawsze to, co ładnie opakowane, ma gwarantowaną jakość. Szanujący się importer powinien żądać atestu do każdego kupowanego produktu w kraju wytwórcy".*

Polskie granice nie są dość szczelne. Na niektórych przejściach granicznych dokonuje się kontroli sanitarnej importowanych artykułów, gdzie indziej handlowcy otrzymują warunkową zgodę na wwiezienie zakupionych towarów. Czy dopełnią obowiązku zgłoszenia ich do kontroli w macierzystym województwie, zależy tylko od ich dobrej woli. Być może pewnym rozwiązaniem byłoby wprowadzenie obowiązku posiadania na granicy atestu z kraju producenta żywności. Zapobiegłoby to – przynajmniej częściowo – przedostawaniu się do Polski towarów zepsutych, niepełnowartościowych, naszpikowanych szkodliwymi związkami chemicznymi, zmniejszyłoby nielegalny handel nimi na bazarach.

Jakie szanse ma w tej rozgrywce konsument? Z braku innych możliwości musimy bronić się jak umiemy. Warto zadać sobie trud i dokładnie przejrzeć listę nie dopuszczonych do obrotu artykułów, aby przystępować do zakupów z pełną świadomością czyhających niebezpieczeństw. Należy zachować dystans do okazyjnych cen, jakimi nęcą targowiska – jest niemal pewne, że tam najprędzej „nadziejemy się" na szkodliwe związki w soczkach, pseudocolach, cukierkach, ciastach, keczupach i gumach do żucia. Zakupy w dużych, renomowanych sklepach nie dają całkowitej gwarancji, ale zwiększają prawdopodobieństwo nabycia zdrowej żywności. Popierajmy rodzime wyroby, które choć mniej atrakcyjne, gorzej zapakowane, mają zdany egzamin z higieny już na etapie produkcji. I wierzmy w uczciwość importerów – a nuż to coś pomoże?

Monika Matuszak

W tym spektaklu płaci się za każdy akt i scenę. Za „włączenie się do zabawy" obowiązuje podwójna taryfa

Prostytucja we dwoje

Przez analogię do call-girls i call-boys niektórzy nazywają ich call-marriages, chociaż nie zawsze są małżeństwami. W zaciszu własnych mieszkań oferują „sex service" wszystkim, którzy odpowiednio za to zapłacą.

Ona i on trudnią się tym od 1,5 roku. Małżeństwem są 5 lat. Nie karani, nie notowani w policyjnych kartotekach. Mają uroczą dwójkę dzieci i pięknie urządzone mieszkanie. Oboje są zadbani i dobrze ubrani.

Zawsze byli bezpruderyjni

W czasach studenckich z grupą przyjaciół organizowali „wieczory erotyczne". Początkowo było to dość ścisłe grono. Z czasem ludzie się zmieniali. Ktoś przyprowadził znajomego, ktoś inny swoją nową przyjaciółkę.

Były to spotkania pełne ciepła i przyjaźni i określenie dla nich „gruppen sex" wydaje im się zbyt wulgarne.

Dziś już nie pamiętają kto przyprowadził na jedno z nich tego starszego mężczyznę i jak to się stało, że w końcu z nimi został. W pierwszej chwili wszyscy byli przecież oburzeni.

Trochę go lekceważyli. Zawsze siedział z boku, palił i popijał alkohol.

Pomysł, żeby na tym zarabiać, wcale nie narodził się wtedy. To przyszło znacznie później.

Po studiach rozstali się z przyjaciółmi, z którymi dalej było im nie po drodze. Założyli rodzinę, zajęli się pracą i domem. Zaraz po ślubie urodziła się córka, dwa lata potem syn. Mieszkali jeszcze w wynajętym mieszkaniu, gdy odwiedził ich jeden z dawnych przyjaciół. Wspominali minione czasy i wspólne „wieczory", gdy zapytał nagle, czy „nie podjęliby jego gościa". Razem tak zadecydowali, bynamniej nie ze względu na wymienioną przez niego kwotę, choć brakowało im wtedy do pierwszego. Ten klient już przy nich pozostał. Później zaprosił jeszcze swojego znajomego. W ten sposób rozrastało się grono ich klienteli.

Nie chcę rozmawiać o pieniądzach

Wszystko ma oczywiście swoją wartość. *„To nie teatr do którego kupuje się bilety wciąż po tej samej niskiej cenie"* W tym spektaklu płaci się za każdy akt i scenę.

Nie ma stałej taryfy, do każdego podchodzi się indywidualnie. Negocjowaniem ceny zajmuje się On. Zawsze jest na to czas po wspólnej kolacji.

Popracują w ten sposób jeszcze trochę. Kupili już mieszkanie i nowy samochód. Teraz gromadzą kapitał na jakiś biznes.

Klienci

Tutaj nazywa się ich przyjaciółmi. Średnia wieku – 55 lat. Jedni są tylko „wzrokowcami", inni chętnie włączają się do zabawy (choć w tym przypadku obowiązuje podwójna taryfa).

Znajdują się sami, zawsze ktoś kogoś poleci. Oni nigdy się z tym nie ogłaszali. Dotychczas nie mieli takiej potrzeby. Poza tym nigdy nie wiadomo kto się trafi. *„A to nie to samo co sprzedaż samochodu".*

Niektórzy to jednak praktykują. W rubrykach ogłoszeń najrozmaitszych czasopism znaleźć można anonsy bardziej i mniej jednoznaczne.

„Młode małżeństwo poszukuje sponsora lub sponsorów, w zamian umili długie wieczory"

„Dyskretni, otwarci na wszystkie formy seksu poszukują zamożnych przyjaciół"

„Młodzi, atrakcyjni poznają kulturalnych potrzebujących relaksu, ciepła, seksu starszych panów".

* * *

Pogłębiające się zubożenie naszego społeczeństwa powoduje wzrost prostytucji. Obyczajówka odnotowuje kobiety, które wychodzą na ulicę, ponieważ nie mają za co wykarmić swoich dzieci. Czy wzrasta także liczba prostytuujących się małżeństw? Policja nie rejestruje takich przypadków. Tutaj bardziej niż gdzie indziej obowiązuje dyskrecja. Nie ma żadnych pośredników: sutenerów, kuplerów stręczycielstwa czy ulicznej „manifestacji", jak w przypadku tradycyjnego nierządu.

Prostytucja jest zjawiskiem istniejącym we wszystkich kulturach. Jej badacze twierdzą, że nowe zjawiska w niej zachodzące odzwierciedlają nie tylko przemiany ekonomiczne, ale także polityczne i ustrojowe.

Beata Kostrzewska

Kim są Świadkowie Jehowy?

Przeciętny człowiek nie wie o nich prawie nic. Ot, chodzą od domu do domu, czasem dość natarczywie usiłując przekonać do swojej wiary. Życzliwie wysłuchiwani wracają do naszych mieszkań w nadziei na przełamanie niezdecydowania.

Świadkowie Jehowy. Kim są?

Początki ich działalności sięgają lat 70. ubiegłego stulecia, kiedy Charles Taze Russell z grupą przyjaciół rozpoczął niezależne od jakiegokolwiek wyznania studium Biblii. W 1879 r. zaczął wydawać czasopismo „Strażnica Syjońska", a w 1884 r. Towarzystwo Traktatowe Strażnica Syjońska zostało zarejestrowane. W latach 80. XIX w. prawdy głoszone przez Russella i jego zwolenników dotarły do Kanady i Anglii, a w początkach XX stulecia otwarto biura Towarzystwa w Wielkiej Brytanii, Niemczech i Australii. Badacze Pisma Świętego oficjalnie przyjęli nazwę Świadków Jehowy w 1931 r.

Obecnie w wielu krajach na całym świecie działa około 70 prawnie zarejestrowanych stowarzyszeń i związków współdziałających z Towarzystwem Strażnica. Wszystkie mają cele filantropijne i są utrzymywane z dobrowolnych datków. Światowa siedziba (Biuro Główne) znajduje się w nowojorskim Brooklynie. Tam też mieści się główna wielka drukarnia, ponieważ Towarzystwo własnymi siłami przy pomocy oddanych ochotników drukuje obfitą literaturę biblijną.

Pod względem poligraficznym ich wydawnictwa stoją na bardzo wysokim poziomie. Uznanie musi też budzić sprawna organizacja kolportażu, bowiem poza książkami i publikacjami o charakterze informacyjnym Świadkowie Jehowy wydają także własne czasopisma. Co 2 tygodnie równocześnie na całym świecie (!) ukazuje się „Strażnica" w przeciętnym nakładzie 15.290 mln egzemplarzy, w 111 językach (nawet tak egzotycznych jak malgaski, samoański, tajski, suahili, zuluski), także pismem Braille'a i na kasetach oraz poświęcone problemom rodziny „Przebudźcie się!" w nakładzie prawie 13 mln egzemplarzy i w 64 językach.

Na świecie jest ich ponad 4 mln w 200 krajach, w Polsce ponad 100 tysięcy. Są trzecią pod względem liczebności grupą wyznaniową w naszym kraju. Liczbę rzeczywistych wyznawców powiększa spore grono sympatyków. Przez pół wieku mieli pełną swobodę, aż do 1950 r., kiedy zdelegalizowano działalność Świadków Jehowy. Po pierwszej fali ataków, gdy zarzucano im nawet szpiegostwo, władze powoli zaczęły przymykać oko na ich poczynania. Korzystając z tej tolerancji, nie zaprzestali działalności nawet w stanie wojennym. Od 1990 r. są zarejestrowani oficjalnie.

Podstawową jednostką organizacyjną są zbory grupujące od 80 do 100 osób, zbory łączą się w obwody, a dalej w okręgi. Krajową działalność koordynuje Biuro Oddziału. Polskie Biuro będzie mieć swoją siedzibę w Nadarzynie pod Warszawą, gdzie trwa budowa gmachu centrali Towarzystwa Biblijnego i Traktatowego Strażnica.

Świadkowie Jehowy odrzucają istnienie utytułowanej klasy duchownej, każdemu zborowi przewodniczy grono braci starszych. Za jedyny podręcznik, źródło i wzorzec postępowania uważają Biblię, której są znakomitymi znawcami. Swój każdy sąd podpierają cytatami z Pisma. Wszystkim chętnym proponują bezpłatne, dobrowolne studiowanie Biblii.

Nie afiszują się, nie zwracają na siebie uwagi. Prawda, którą poznają, wyswobadza ich od politycznego zaangażowania, to pozwala im zachować międzynarodową jedność. Twierdzą, że nie uzurpują sobie prawa do nieomylności i chętnie uczą się. Starają się być w zgodzie ze wszystkimi ludźmi. *„Nie jesteśmy uprzedzeni do innych religii* – mówią – *a jaki jest stosunek innych do nas, to już ich sprawa".*

Świadkowie Jehowy zbierają się na różnych zgromadzeniach. W każdym zborze odbywa się pięć zgromadzeń tygodniowo. Spotykają się również na specjalnych 1- i 2- dniowych zgromadzeniach obwodowych, raz w roku zjeżdżają się bracia z całego okręgu, a co pięć lat organizowane są zgromadzenia międzynarodowe. Pod koniec lipca 8 tys. Polaków uczestniczyło w takim zgromadzeniu w Budapeszcie, niedługo 17 tys. delegatów pojedzie do Pragi. W Polsce podobne spotkanie miało miejsce w Warszawie, Poznaniu i Chorzowie 2 lata temu. Celem zgromadzeń jest wychwalanie imienia Jehowy- Boga, stwórcy wszechświata, pobieranie nauk, wytwarzanie więzi między braćmi, wyjaśnianie trudnych zagadnień biblijnych i ustalanie wspólnych poglądów.

W dniach 2-4 sierpnia na stadionie SKS „Start" odbyło się okręgowe zgromadzenie Świadków Jehowy z 7 centralnych województw pod hasłem „Lud miłujący wolność". Kongres był jednym z 12 spotkań okręgowych, jakie w miesiącach letnich odbywają się w całym kraju i zgromadził ponad 10 tys. wyznawców. Szeregi Świadków Jehowy powiększyły się o 322 osoby, które przyjęły chrzest nowej religii.

Monika Matuszak

Samolot pełen niespodzianek

Z Tadeuszem Mazowieckim w Paryżu

Do pokoju wszedł niewysoki człowiek ubrany w czarny, gruby golf, na który narzucona była rozpięta kurtka. Przez ramię zwisała ciemna torba na długim pasku. Na miłej, jakby okrągłej i niezbyt dokładnie wygolonej twarzy gościł od progu uśmiech.

– *Seweryn Blumsztajn* – przedstawił się przybyły.

Usiedliśmy w fotelach. Wydawało mi się, że problem z jakim przyszedł pan Seweryn trochę go krępował.

– *Po paru dniach nieobecności wróciłem do redakcji i dowiedziałem się* – zaczął – *że mam z Tadeuszem Mazowieckim jechać do Paryża. Z ogromną przyjemnością. Mieszkałem tam parę lat. Nadal mam w Paryżu żonę. Jest tylko jedno ale. Otóż, nie mam paszportu, ani dowodu osobistego.*

Gość mówił dalej, tłumacząc swą sytuację wynikającą z dotychczasowych stosunków łączących go z resortem spraw wewnętrznych, a ja poczułem lekką bezsilność. Na dwa dni przed odlotem reprezentant »Gazety Wyborczej«, pisma tak silnie związanego z rządem oświadcza, że jego wyjazd jest niemożliwy. Lista dziennikarzy została przekazana do Paryża i jakiekolwiek w niej zmiany byłyby niemile widziane przez Francuzów, niezwykle uczulonych na tego rodzaju niespodzianki. Do tego dochodzą kłopoty ze zmianą pasażera w rządowym samolocie, za którego bezpieczeństwo odpowiadało Biuro Ochrony Rządu.

– *Mam tylko zaświadczenie o zniszczeniu dowodu osobistego.*

Wystawienie paszportu musiało być błyskawiczne, tak aby uzyskać jeszcze nazajutrz wizę francuską. Odszukałem numer telefonu do pułkownika Garstki – rzecznika prasowego ministra spraw wewnętrznych. Nigdy nie spotkałem tego człowieka. Rozmawiać też mieliśmy po raz pierwszy.

Wyruszyliśmy w podróż nietypową

Na pokładzie jak nigdy dotąd, znaleźli się jednocześnie prezydent, premier i minister spraw zagranicznych. Panowie Wojciech Jaruzelski, Tadeusz Mazowiecki i Krzysztof Skubiszewski rozpoczynali trudne zabiegi o gwarancje dla Polski w procesie jednoczenia się Niemiec. Głównie chodziło o poparcie Francuzów dla idei udziału naszego kraju w konferencji „2+4".

Zapaliłem papierosa i zacząłem przeglądać materiały przygotowane dla prasy i informacje, które należałoby przekazać premierowi. Z tych ostatnich pamiętam jedną, jakże nie przystającą do ówczesnych zabiegów dyplomacji polskiej. Paradoskalne, że jest ona w niezgodzie także i z obecnymi działaniami prezydenta Lecha Wałęsy, który wszak z takim nasileniem nawołuje inwestorów zagranicznych do zainteresowania się Polską. Wówczas, jeszcze jako przewodniczący „Solidarności", na konferencji prasowej w stoczni w Gdyni, Lech Wałęsa powiedział, że potrzebujemy obcego kapitału, ale tylko na kilka lat. Potem będziemy mogli mu podziękować. Nie cytuję dokładnie, ale sens wypowiedzi zamykał się w stwierdzeniu – przyjdźcie, inwestujcie – potem zostaniecie wyrzuceni. Po upływie ponad roku od tamtego stwierdzenia można powiedzieć, iż raz jeszcze, tym razem na szczęście, potwierdza się porzekadło, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

Premier Tadeusz Mazowiecki miał miły zwyczaj poznawania w czasie lotu towarzyszących mu dziennikarzy. Robiłem wtedy z premierem tzw. »obchód«. Prezentowałem każdego z imienia i nazwiska, zaznaczając zarazem jaką redakcję reprezentuje. Tadeusz Mazowiecki znał wielu dziennikarzy, z niektórymi jak z Sewerynem Blumsztajnem był zaprzyjaźniony.

Premier wyszedł z saloniku. Stanął w otwartych drzwiach opierając się o futrynę.

– *Ja już z nimi dłużej nie wytrzymam* – szepnął.

Spojrzeliśmy w głąb saloniku. Widok był rzeczywiście nieprzystający do nastroju premiera. Generał Jaruzelski siedział sztywno wyprostowany i czytał gazetę. Minister Skubiszewski natomiast, jak zwykle, pracował, obłożony plikiem papierów i innych, zapewne nie mniej ważnych materiałów. Starannie kaligrafował coś na jednym z nich.

– *Oni tak od początku lotu* – narzekał premier, zamykając drzwi do saloniku – *muszę wreszcie z kimś pogadać.*

Po jakiejś półgodzinie Tadeusz Mazowiecki zdecydował się towarzyszyć w lekturze gazety prezydentowi.

– *Panie premierze, jeszcze dwie sprawy* – zwróciłem się do Mazowieckiego – *moja córka, Malwina, bardzo pragnie mieć pana autograf.*

Wielokrotnie widziałem jak Mazowiecki rozdawał autografy. Stawiał wówczas na kartce coś w rodzaju falującego wężyka. Tym razem na pierwszej stronie pamiętnika widniały starannie wypisane słowa:

„Dla Malwiny
T. Mazowiecki
W samolocie 9 marca 1990"

– *A ta druga sprawa?* – zapytał.

Podałem mu tekst ze słowami Lecha Wałęsy. Premier włożył okulary i przebiegł wzrokiem kartkę. Nie odezwał się już. Dołożył ją do pliku materiałów jakie wręczyła szefowi jego sekretarka i zniknął za drzwiami saloniku.

Na „Orly" wylądowaliśmy z opóźnieniem, spowodowanym silnym, przeciwnym wiatrem.

Strzał w dziesiątkę

Po odbyciu wspólnej konferencji prasowej prezydentów i premierów, pozostało do odlotu kilka godzin. Mieliśmy wrócić do hotelu na krótki odpoczynek, a następnie zwiedzić trochę miasto. Nie było konkretnego programu zwiedzania. Ponadto nie mógł być zbyt długi, gdyż premiera czekało jeszcze spotkanie z paryską Polonią w ambasadzie i kilka wywiadów, jakie miał po spotkaniu udzielić prasie.

– *Co panowie chcieliby zobaczyć w Paryżu?* –łagodnym głosem zapytał prezydent Francois Mitterrand, splatając przed sobą palce dłoni. Możliwości były nieograniczone. Jest na co patrzeć w stolicy Francji. Jedynie czasu było zbyt mało. W takiej sytuacji decyzja nie może być łatwa. Ogromnym refleksem i politycznym wyczuciem wykazał się w tym momencie prezydent Wojciech Jaruzelski.

– *Jeśli można, chcielibyśmy choć na chwilę zajrzeć do Luwru* – odpowiedział – *niezwykle nas interesuje to, jak została zrealizowana pana koncepcja.*

To był strzał w dziesiątkę! Nie wiem, czy prezydent wymyślił to na poczekaniu, czy też przygotował sobie taką ewentualność. Najistotniejsze było to, że Francois Mitterrand był rozpromieniony. Rzeczywiście, w Luwrze, na zwiedzanie którego należałoby poświęcić minimum kilka dni, przybył dodatkowy element. Na dziedzińcu pałacu, który zrobił na mnie wrażenie mocno powiększonego Wilanowa, stanęła nowoczesna konstrukcja, jak to się popularnie mówi: ze szkła i aluminium. Jest czymś w rodzaju „serca" całego muzeum. Nowoczesna piramida kryje w sobie wszelką infrastrukturę konieczną do funkcjonowania galerii. Kasy biletowe, tunele prowadzące do różnych sal wystawowych, drogi wiodące do pamiątek z tych epok, które pamięta Luwr. Konstrukcyjnie i technologicznie rzecz fascynująca, a co najważniejsze, „dziecko" Francoisa Mitterranda. Prezydent Francji nie pozostał obojętny na zainteresowanie jego pomysłem. Choć miał jeszcze coś do załatwienia tego popołudnia, i mimo, że o tym wcześniej nie wspomniał, gdy zajechaliśmy do Luwru, przybył zaraz za nami. Osobiście chciał „pochwalić się" efektem zrodzonym przez jego pomysł.

Nie potrafię powiedzieć, na ile pomysł prezydenta Mitterranda przypadł do gustu dostojnym jego gościom. Osobiście miałem uczucia mieszane. Nigdy nie wpadłbym na pomysł stawiania rozbłyszczonej, szklanej piramidy przed frontonem pałacu wilanowskiego. Jednak mam zbyt tradycyjne poczucie estetyki, a ponadto, być może, Paryż, Luwr ma szokować. Wilanów w nikim nie musi budzić takich uczuć. To jest jednak tylko moje skromne zdanie i to w dziedzinie sztuk pięknych. W polityce liczą się efekty. Wizyta w Paryżu, mimo że Luwr zobaczyliśmy jedynie od strony wczesnośredniowiecznych kamiennych fundamentów, przyniosła konkretne efekty. Polska ostatecznie zasiadła przy stole rokowań „2+4" i to właśnie w Paryżu.

Z Luwru przejechaliśmy do ambasady. W scenerii uroczego pałacyku odbyło się małe party z zaproszonymi przedstawicielami Polonii.

Premier spogląda w sufit

Z pokoju sąsiadującego z salą recepcyjną ambasady wyszedł prezydent Wojciech Jaruzelski. Udzielał tam długiego wywiadu, który całkowicie uniemożliwił mu udział w coctailu. Przyjęcie było zakończone. Należało zbierać się na lotnisko.

Wyszliśmy wszyscy do holu. Jeszcze ostatnie rozmowy, pogawędki. Premier podszedł do prezydenta. Ten, jak zwykle, dostojnie wyprostowany zwrócił się do Tadeusza Mazowieckiego:

– *Pan pozwoli, że przedstawię mu swoją córkę, Monikę* – wskazał na stojącą obok uśmiechniętą, młodą dziewczynę.

Premier, jakby nieco roztargniony, przywitał się z Moniką.

– *To pani mieszka w Paryżu?* – zapytał.

– *Nie. Ja przyjechałam wraz z ojcem.*

– *Zupełnie nic o tym nie wiedziałem* – zdziwił się premier, lecz kontynuował: – *Przyleciała pani odwiedzić przyjaciółkę?* – wskazał na stojącą obok równie uśmiechniętą, młodą osobę – *Pani mieszka w Paryżu?* – zapytał ją bezpośrednio.

– *Nie, panie premierze* – odparła – *ja również przyleciałam z panami.*

Z twarzy dziewcząt nie znikał radosny uśmiech.

– *Aha...*

Na tyle zdobył się premier, spoglądając odruchowo w sufit. Lekko wzruszając ramionami wysunął do przodu dolną wargę. Taki gest, czy raczej mina, oznaczała u Mazowieckiego zdziwienie, krótkie zakłopotanie lub znaczącą, bezdźwięczną odpowiedź. W obecnym kontekście, przy braku przyzwyczajenia do przewożenia rządowym samolotem osób spoza delegacji, oznaczało to chyba wszystko naraz.

– *Pewnie będziemy ruszać?* – premier zmienił temat.

Krzysztof Bakalarski

Al i praprawnuczka generała

Osobiście przesłuchiwał kapitana „Batorego"

Przedziwnie splotły się losy Margot i Ala Alexandrów. Zanim przed 19 laty pobrali się, w tym samym tygodniu owdowieli. Później, w tym samym dniu zmarli ich ojcowie. Gdy poznali się i stwierdzili te zbiegi okoliczności Margot oznajmiła, że to nie koniec – ona w młodości przyjaźniła się w college'u z dziewczyną, która później wyszła za Ala.

Al ma z pierwszego małżeństwa dwoje dzieci, Margot – czworo. Jedna z jej córek ukończyła slawistykę, dokładnie zwiedziła Rosję i zawadziła o Polskę. M.in. przywiozła album zabytków Krakowa. Margot zakochała się w nich i Polsce na odległość. Al nigdy nie przestał kochać Polski, choć jak i Margot urodził się w USA. Tyle że ona w rodzinie o tradycjach generalskich, zaś jego rodzina kultywowała pamięć pradziadka atakującego widłami rosyjskiego oficera-okupanta. Jak wspomina, w jego rodzinie nigdy nie mówiono inaczej, jak „przeklęty Rusek". On też tak mówił, nawet o Gorbaczowie, którego uwielbia. Dopiero ode mnie dowiedział się, że ta zbitka jest obraźliwa. Był przekonany, że tak się nazywają mieszkańcy Rosji.

Rodzice Ala poznali się w duchocie podpokładzia statku płynącego do USA. Tylko raz w ciągu 6 tygodni pozwolono im wyjść na pokład. To był rok wybuchu wojny 1914. Mama Ala miała wtedy 14 lat, tata 18. Razem dotarli aż do Minnesoty i zamieszkali w Forestville. Mieli już odłożone dość dolarów na powrotną podróż i kupno w okolicach rodzinnego Przasnysza kawałka ziemi, gdy dotarła do nich wieść o wyzwoleniu Polski. Zaraz napisali do rodziny, że chcą wracać. Odpowiedź nadeszła bardzo szybko: zostańcie w Ameryce i przysyłajcie dolary! Ta depesza odcięła ich na zawsze od Polski. Kupili farmę i pozostali na niej do śmierci wychowując pięcioro dzieci.

– *Oboje rodzice spoczywają na irlandzkim cmentarzu choć jest tam i polski. To z powodu scysji z księdzem – wyjaśnia Al. – Ojciec uparł się, aby dzieci uczęszczały do amerykańskiej szkoły, zaś ksiądz nastawał, żeby posłano je do polskiej. Ojciec postawił na swoim, dzięki temu nauczyliśmy się języka, którego rodzice nigdy dobrze nie poznali. Ale skłóceni z księdzem przenieśli się do kościoła irlandzkiego. Jednak my, dzieci, gdy dorośliśmy przenieśliśmy się do polskiego. Nikt więc nie przegrał w tym sporze, choć ksiądz odmówił pochówku na polskim kawałku cmentarza.*

Gdy miałem 16 lat zacząłem samodzielne życie zaciągając się na półtora roku do marynarki. Później były 2 lata wojska lądowego i znów marynarka. Wtedy właśnie – w 1947 r. jedyny raz byłem w Polsce. Statkiem-chłodnią w całkowicie zniszczonym porcie. Chyba Gdynia.

Al wspomina, że kiedy miał 23 lata zaproponowano mu „pracę dla rządu" poprzedzoną studiami uniwersyteckimi, też na koszt rządu. Znaczna ich część to była intensywna, po kilkanaście godzin dziennie, nauka polskiego i rosyjskiego. Ta znajomość języków słowiańskich była mu potrzebna w pracy – opiekował się polskimi i rosyjskimi azylantami. Z tych czasów bardzo mile wspomina np. kapitana „Batorego", który wybrał wolność w USA i właśnie Alowi referował czemu to uczynił.

– *Gdy zakończyłem swoją służbą dla rządu otworzyłem pralnię. Wytrwałem jednak tylko 3 lata. Zniszczyły mnie nadużycia związkowców, którzy domagali się coraz wyższych składek, zabierali ze sklepu rzeczy, grozili zabiciem rodziny. Poddałem się i od tego czasu pracuję w ubezpieczeniach. Piersi i nosów gwiazd nie ubezpieczam – poinformował mnie uprzedzając pytanie – sławy zgłaszają się z tym do Lloyda. Moja specjalność to ubezpieczenia życia, domu i biznesu...*

O tym, że Margot jest spokrewniona ze słynnym amerykańskim generałem dowiedziałem się, gdy wspólnie wybraliśmy się na zwiedzanie San Francisco. Kiedy oglądaliśmy Golden Gate Bridge z wysokiego brzegu oceanu Al pokazał mi usytuowaną pod mostem budowlę z czerwonej cegły oznajmiając dość wesołym tonem:

– *To jest twierdza, którą przed wojną secesyjną dowodził prapradziadek Margot.* – Myślałem, że żartuje, bo Al lubi sobie pokpić z małżonki, która znosi to z anielską wyrozumiałością. Tym razem jednak nie żartował. Oboje zawieźli mnie do twierdzy zamienionej na muzeum. W jednej z sal znajdują się pamiątki po dawnym komendancie generale Albercie Sydney'u Johnsonie.

Z tej właśnie twierdzy wyruszył na wojnę znaną nam z serialu „Północ-Południe" wyświetlanego też akurat w tv USA. Można o gen. Johnsonie przeczytać w podręcznikach historii USA. Margot powiada, iż specjalnie przewertowała od deski do deski wspomnienia Winstona Churchilla, gdy dowiedziała się, że ten wielki polityk napomknął z uznaniem o jej przodku. I to z jakim uznaniem! Stwierdza, iż Johnson był najdzielniejszym generałem amerykańskim. Tak przynajmniej wyczytała Margot. Al powiada, że generał popełnił poważny błąd: stanął po niewłaściwej stronie, czyli Południa. Zginął śmiercią kawalerzysty. Jego potomkowie odrabiają to. Są zagorzałymi przeciwnikami rasizmu. Nie można przy nich powiedzieć złego słowa o tzw. kolorowych. Al zresztą także broni ich z równą zaciekłością z jaką prapradziadek jego małżonki walczył przeciw zwolennikom zniesienia niewolnictwa.

Margot uczy amerykańskiej wersji języka angielskiego dzieci od 6 do 10 lat. Ale tylko takie, które mają trudności z posiedzeniem spokojnie choćby chwilę. Jakby było mało tego utrudnienia w dodatku tylko 20 proc. stanowią Amerykanie. Reszta to Meksykanie, Wietnamczycy i Filipińczycy. Rodzice tych 80 proc. nie znają angielskiego, nie mogą więc pomóc dzieciom w nauce, za to poganiają je, by szybciej poznawały język i zostawały rodzinnymi tłumaczami.

– *Moja metoda nauczania tych dzieci jest prosta: dużo muzyki i tańca, na takim podkładzie przyswajać dzieciom proste określenia, jak opis człowieka, rodziny, domu. Niepostrzeżenie zaczną budować coraz bogatsze zdania. Raz w tygodniu organizuję lekcje językowe dla rodziców. Radzę im jak mają sobie przyswajać angielski od swych dzieci. Twoim polskim czytelnikom też radzę uczyć dzieci obcych języków od małego. Zanim skończą 10 lat łatwo je opanują* – stwierdza ta nauczycielka z 30-letnim stażem.

Margot jest rodowitą Amerykanką. Po polsku nie mówi, ani nie rozumie. Ale piecze polskie ciasta, trze chrzan, lepi pierogi. Z mężem, w ich dużym domu w Morgan Hill w Kalifornii, jeden pokój przeznaczyli na gromadzone latami relikty polskości. Jest tam m.in. album „Stary Kraków", dzięki któremu Margot zakochała się w tym mieście. Postanowiła, że koniecznie musi je zobaczyć. Już raz byli przygotowani do rejsu prawie całymi rodzinami jej i Ala. Niestety, akurat wtedy „Batory" odpłynął na emeryturę. Przygotowują się więc do lotu Boeingiem. Na razie poprosili mnie o płyty z polską muzyką poważną z XVII i XVIII wieku. Takich jak oni Amerykanów ciekawych Polski przodków jest w USA wielu.

Waldemar Uchman

Perła w Koronie

Na dworze Windsorów dominują kobiety

Czarne od chmur niebo, ulewny deszcz i przejmujący wiatr. Czerwiec w Walii. Na gładkim wzgórzu niedaleko Cardiff rozsiadła się Politechnika Walijska. Wzdłuż prowadzącej do niej głównej drogi wjazdowej gromadzi się tłum: lokalni dygnitarze, profesorowie, studenci, liczni techniczni i administracyjni pracownicy uczelni. Są także przedstawiciele prasy.

Z otwierających się drzwiczek przybyłej tuna czele imponującego konwoju czarnej limuzyny najpierw wyłania się para wspaniałych nóg w pięknych purpurowych butach. Ich właścicielką jest szczupła młoda kobieta, która wysiadając z samochodu uśmiecha się promiennie. Jej uśmiech i wspaniała bladoróżowa suknia zdają się rozjaśniać chmury. Oto Diana, Księżna Walii, kobieta, która kiedyś będzie królową Anglii, a już dziś zwana jest najjaśniejszą perłą Korony.

Chociaż oficjalnym powodem jej wizyty jest odsłonięcie tablicy pamiątkowej na jednym z budynków uczelni, Diana większość czasu poświęca na spotkania i rozmowy z przybyłymi tu ludźmi. Gdy studencka orkiestra wręcz niemiłosiernie pastwi się nad jednym z dworskich marszów ona pomaga jąkającemu się z wrażenia chłopcu wyznać, że ją kocha i ma nadzieję ujrzeć ją znowu. Przystojnemu młodzieńcowi, wystawiającemu na pokaz awangardowe uczesanie „w kostkę", które najzupełniej nie pasuje do jego gładkich i prostych włosów, mówi: *„Myślę, że powinniśmy zamienić się fryzurami"*. Oboje śmieją się serdecznie. On już po chwili przeczesuje włosy.

Kilku ludzi zwija się tu niczym w przysłowiowym ukropie. To dziennikarze. *„Do diabła!* – klnie jakiś fotograf – *Ona znowu jest w różowych ciuchach! Nic tu po mnie, spływam!"*.

Okazuje się, że różowa suknia Diany, która wydaje się być specjalnie dobrana na ten właśnie dzień, była już wielokrotnie fotografowana. Prasa od lat nie odstępuje pięknej Diany. Księżna przyzwyczajona jest do codziennych kontaktów z dziennikarzami i zna ich oczekiwania. Czyżby dziś zapomniała jak powinna grać swoją rolę? *„Ona zakłada stare suknie, chcąc skierować naszą uwagę na niego* – szepcze inny, obwieszony aparatami fotoreporter – *ale to się jej nie uda!"*. On to oczywiście książę Karol, którym dziennikarze są już mocno znużeni. Diana jest gwiazdą. Najmniejsze nawet detale jej eleganckich strojów i fryzur, wszystko co wiąże się z jej dziećmi, przyjaciółmi i upodobaniami budzi większe zainteresowanie brytyjskich czytelników prasy i telewidzów niż jakikolwiek serial tv. Brytyjskim środkom masowego przekazu obserwatorzy tego zjawiska zadają dziś pytanie: czym zajmowały się one dziesięć lat temu, przed ślubem następcy tronu; co wtedy robiły bez jego pięknej małżonki?

Jej Książęca Wysokość Diana Franciszka Księżna Walii jest niezwykle popularna i nadzwyczajnie wprost lubiana przez poddanych Jej Królewskiej Wysokości Królowej Elżbiety II. Wszyscy członkowie brytyjskiej rodziny królewskiej oddają się działalności charytatywnej. Jej ręce bez wahania obejmują setki małych pacjentów bez względu na to czy dzieci te są zdrowe czy też chore np. na AIDS. Odbywając liczne wizyty w szpitalach lekceważy ona zalecające ostrożność uwagi lekarzy i pielęgniarek. Uwielbiają ją pensjonariusze domów starców, z którymi – wizytując owe ośrodki – zdarza jej się tańczyć tango na tamtejszych popołudniowych herbatkach. Piękna Diana szczególną troską darzy dzieci niepełnosprawne i kalekie. Jest wręcz niezastąpiona w znajdowaniu niezbędnych funduszy i środków dla szpitali.

Zdaniem Margaret Jay, dyrektorki brytyjskiego Centrum Opieki nad Chorymi na AIDS największą zaletą Diany w jej działalności charytatywnej jest niezwykle inspirująca postawa: *„To, że właśnie z jej ust padło stwierdzenie, że AIDS zagraża każdemu a nie tylko ludziom z tzw. grup największego ryzyka, było znacznie więcej warte niż miliony telewizyjnych reklam"*.

Diana daje ludziom poczucie, że nie zaszokują ich jej słowa, że nigdy nie pomyśli o nich jak o bankrutach, którzy przegrali swoje życie".

Księżna Walii kilka dni temu skończyła trzydzieści lat. Jest wspaniała. Piękna i bardzo elegancka nadzwyczaj umiejętnie godzi swobodną naturalność i książęce dostojeństwo. Jej dawna nieśmiałość jest już tylko wspomnieniem, choć kiedyś była tak wielka, że księżnę Walii nazywano „shy Di" („nieśmiała Di"). Wielbiciele pięknej Diany zapomnieli już czasy, gdy onieśmielona rolą następcy tronu, towarzysząc mu w oficjalnych spotkaniach, wbijała wzrok w ziemię i nieśmiało potakiwała głową ilekroć się do niej zwrócono. Dziś jest na wskroś nowoczesną księżną, która swe dworskie obowiązki doskonale łączy z obowiązkami matki uroczych synów i gorliwą opieką otacza ubogich i potrzebujących pomocy. Żyjąc w świecie sztywnej etykiety nie przestaje promieniować naturalną przystępnością. Wielu komentatorów uważa ją za najciekawszą osobowość rodziny królewskiej, a ostatnio przeprowadzone badania opinii publicznej dowiodły, iż jej popularność wzrosła dodatkowo, co wydaje się mieć ścisły związek z faktem, iż w czerwcu piękna księżna czuwała przy szpitalnym łóżku swojego synka, co również zarejestrowały kamery telewizyjne.

Zdaniem wielu brytyjskich dziennikarzy Diana nie jest jedynie młodym listkiem na królewskim drzewie. Twierdzą oni, iż przede wszystkim jest ona kolejnym przykładem dominacji kobiet na dworze Windsorów. Prawo dziedziczenia tronu preferuje tu mężczyzn, ale ciągłość dynastii zapewniają mu kobiety. I one są tu najważniejsze. One podejmują lub powodują najistotniejsze działania. W latach trzydziestych Edward VII abdykował po krótkim panowaniu, aby poślubić Wallis Simpson. Jego bardzo nieśmiały brat Jerzy VI dobrze spełniał swój trudny obowiązek podczas II wojny światowej, ale liczne oczywiste napięcia sprawiły, iż zmarł przedwcześnie mając zaledwie 56 lat. Liczący dziś 42 lata książę Karol wydaje się być dobrze przygotowany do objęcia królewskiego tronu, ale wciąż sprawia wrażenie człowieka, któremu odległe są sprawy bieżące. Jest niedostępny i najwyraźniej brak mu zdecydowania, mimo iż z upodobaniem uczestniczy w publicznych dyskusjach.

Tak więc Elżbieta-Królowa Matka (lat 91), Królowa Elżbieta II (lat 65) i Księżna Diana – oto, kobiety, które zdominowały instytucje monarchii i zdecydowane są uczynić z niej część życia publicznego wszystkich Brytyjczyków.

Gdy w czerwcu z powodu ostrego ataku bólu kręgosłupa książę Karol nie przybył na doroczną Paradę Orderu Podwiązki, jego miejsce w królewskim orszaku zajęła Królowa Matka, która mimo swych dziewięćdziesięciu lat wyglądała i czuła się znakomicie. To właśnie Królowa Matka pomagała przed laty młodziutkiej Dianie w stawianiu pierwszych kroków na królewskim dworze. Te dwie kobiety mają ze sobą wiele wspólnego. Obie są równie niewymuszenie eleganckie i obie cieszą się wielką popularnością. Zarówno Królowa Matka jak i Księżna Diana mają ogromną łatwość nawiązywania miłego kontaktu z rozmówcami; tę łatwość bycia, za którą wielu polityków chętnie oddałoby majątek. Obie są w centrum uwagi kamer telewizyjnych, a fotoreporterzy wprost je uwielbiają. Królowa Matka w słodkich kapeluszach-toczkach i pastelowych płaszczach spiętych ogromnymi broszkami i Diana ze swą smukłą posągową figurą odziana w najlepsze wełny i jedwabie, piękne suknie i najdoskonalej skrojone kostiumy! Razem sprawiają wspaniałe wrażenie! Fotoreporterzy twiedzą, iż być może tylko papież jest tak fotogeniczny. Królowa Elżbieta II ma, jak twierdzą, kilka „słabych punktów": nie najlepszy gust, niemal ciągle zmarszczone brwi, niezmienny i niezbyt naturalny uśmiech. Fotografom udało się nawet uchwycić chwilę, kiedy królowa „znika po angielsku" jak to zrobiła po jednym ze swoich ostatnich przemówień. Wszyscy jednak zgodni są co tego, że w działaniach wynikających z jej obowiązków brytyjska monarchini nigdy nie zrobiła fałszywego czy niewłaściwego choćby kroku. W czasie swego panowania zatwierdziła dziewięciu premierów i nigdy w najmniejszy nawet sposób nie krępowała ich w kierowaniu pracami rady ministrów. Doskonale taktowna, wyłącznie dla siebie pozostawia swoje polityczne opinie. Jej cierpliwość i wyrozumiałość w stosunku do licznej rodziny jest nieograniczona i prawdziwie królewska. Druga (obok Diany) synowa, Fergie, bywa nazbyt chciwa, zięć (mąż córki, Anny) wywołuje sensację związaną z ogłoszeniem przez prasę wiadomości o rzekomo posiadanym przezeń nieślubnym dziecku z piękną mieszkanką Nowej Zelandii, a najstarszy syn i następca tronu każe jej wątpić w ład i szczęście swego małżeństwa z Dianą. „Cały Londyn" aż kipi od plotek. Książę nie pojawił się u boku swej pięknej małżonki w dniu jej trzydziestych urodzin, a przykrego wrażenia nie zatarł fakt, iż dzień później obdarował ją olśniewającą bransoletą... Książę odwiedził niedawno swą „dziewczynę" sprzed dwudziestu lat... Książę nie towarzyszył Dianie... Królowa Elżbieta II niezbyt się tym przejmuje. Ona wie, że mimo burz małżeństwo jej syna będzie trwało tak jak będzie trwała monarchia, której najgoręcej życzą sobie jej poddani. Jest bowiem dla nich opoką, to ona pozwala wierzyć „wyspiarzom" w ich potęgę i siłę, ona, monarchia, stoi na straży tradycji, ona jest gwarancją trwałości domów, rodzin i obyczajów... Królowa nie wykazuje więc najmniejszych nawet oznak zaniepokojenia sytuacją. Być może zresztą nawet słowo „kryzys małżeński" tak często powtarzane teraz przez brukową prasę jest tu zbyt wielkie? Królowa jest spokojna.

Czy Diana będzie kiedyś takim samym wzorem doskonałości? Prawdopodobnie nie! Ona jest zbyt ekspansywna, zdecydowana i bardziej skłonna do silnie emocjonalnych reakcji zewnętrznych. Pod eleganckim kostiumem tak nienagannego sposobu bycia jak tylko wymaga tego dworska etykieta, kryje się w jej osobie znaczna spontaniczność, przede wszystkim zaś zdecydowana niechęć do sztampy i nudy. W odróżnieniu od swego książęcego, a w przyszłości królewskiego małżonka, który lubi metafizyczne refleksje, bardzo wysoko ceni dążenia intelektualne, a najchętniej oddaje się teoretycznym dysputom na tematy polityczne, Diana lubi życie towarzyskie, jest wesoła i chętnie spotyka się z przyjaciółmi. Diana, podobnie jak zapewne niegdyś jej teściowa, niezmordowanie wprost pracuje nad swoją pozycją. Najzupełniej zlekceważyła plotki o przyjęciu wydanym przez Karola dla jego dawnej przyjaciółki i nawet cień niezadowolenia z jego niezbyt eleganckiego zachowania w dniu jej urodzin, które zbiegły się z dziesiątą rocznicą ślubu księcia i księżnej Walii, nie pojawił się na jasnej twarzy Diany.

Diana nie podda się nigdy. Z pewnością jednak nie postąpi także jak jej matka, która przed laty uciekła z domu z kochankiem pozostawiając mężowi czworo dzieci. Diana wierzy w Koronę. Już dziś jest jej najjaśniejszą perłą.

wg TIME **Ewa Pankiewicz**

Sąsiad klajstrownik

Lewym okiem

Sąsiad mój, obywatel Wyprzędek Jan, nie miał głowy do nauki, nie miał też rodziców, którym by zależało, żeby syn wyrósł na człowieka. Nie miał żadnego zawodu, ale dawał sobie jakoś radę, pracując przez wiele lat jako klajstrownik. W jednej ręce nosił blaszaną puszkę z klejem, w drugiej pędzel o przedłużonym trzonku i pod pachą wielki rulon papieru. Domyślacie się już, że chodził po mieście i rozklejał plakaty.

– *Jestem zatrudniony jako pracownik kulturalny, a więc pozostaję w sferze budżetowej* – mawiał pan Wyprzędek – *to ode mnie zależy czy na imprezach kulturalnych i politycznych będzie dostateczna frekwencja, bo jeśli nie rozkleję plakatów, to kto się o imprezie dowie?*

Jak to w sferze budżetowej bywa mój sąsiad zarabiał marnie, za to po dwudziestu latach dostał odznakę Zasłużonego Działacza Kultury. Niestety osiągnięte przez ten czas kwalifikacje okazały się dziś bardzo niewygodne i pan Wyprzędek będzie musiał zmienić zawód. Przy pierwszej z brzegu weryfikacji kadr kulturalno-oświatowych stwierdzono, że sąsiad mój naklejał także plakaty pierwszomajowe, takie, co wzywały do walki o wolną Nikaraguę i takie zupełnie idiotyczne z napisem: „Przez pracę do dobrobytu". Uznano go za koniunkturalistę, który zawsze umiał dopasować się do kolejnych reżimów, naklejał Gomułkę na Ochaba, Ochaba na Bieruta, na Gomułkę Gierka. Raz nawet okleił całe miasto plakatem, na którym widniał wielki bochenek chleba i wbity w ten bochenek nóż. Nikt nie wiedział co to znaczyło, ale coś musiało znaczyć. Zdążył nawet porozklejać uśmiechniętego Mazowieckiego, przy czym przechodnie widząc jak to nakleja, dziwili się: Jak wy doprowadziliście do tego, że on się uśmiecha?

– *A więc* – mówił pan Wyprzędek – *nie mam przeszłości kombatanckiej i przeciwnie, zarzucają mi, że wysługiwałem się komuchom. Teraz jestem na zasiłku dla bezrobotnych i sprzedaję na rogu gumę do żucia. Ta guma daje mi dodatkowo trzy zasiłki, ale co to za życie. Mógłbym jeszcze tyle zaklajstrować.*

– *A któż zajął miejsce szanownego pana w spółdzielni klajstrowników?* – zapytałem sąsiada.

– *A jest tam taki jeden mecenas* – odpowiedział pan Wyprzędek. *Też go nie zweryfikowali, bo pracował jako radca prawny w zakładach produkujących tkaniny. Okazało się, że produkowali tam także tkaninę czerwoną, czyli tak zwane płótno flagowe. Pan wie co mam na myśli... Nie zweryfikowali mnie – mawia teraz mecenas, a przecież jeździłem tramwajami bez biletu, zupełnie jak za czasów okupacji niemieckiej, żeby nie dać zarobić wrednemu reżimowi. Ale ja się jeszcze odkuję.*

Podniosłem brwi i spojrzałem pytająco na opowiadającego.

– *Jakże to się zamierza odkuć pański mecenas?*

– *Bo on ma w zanadrzu jedną taką sprawę. Mianowicie chce udowodnić, że raz, właśnie jako radca prawny, doradził swemu przedsiębiorstwu jak ma oszwabić Ministerstwo Finansów i zamiast zapłacić podatek, otrzymać ponadplanową dotację. To był numer, nie, he, he?* – śmiał się pan Wyprzędek. –g Gdybyśmy takich więcej mieli, może by to nie trwało aż czterdzieści lat, ale cóż, człowiek był głupi, chodziłem i naklejałem te plakaty uważając, żeby nie wisiały do góry nogami. Za dużo miało się skrupułów...

Włodzimierz Krzemiński

TOP 10

Single

1.	(Everything I Do) I Do It For You	BRYAN ADAMS
2.	P.A.S.S.I.O.N.	RHYTHM SYNDICATE
3.	Every Heartbeat	AMY GRANT
4.	Summertime	DJ JAZZY JEFF & THE FRESH PRINCE
5.	It Ain't Over Till It's Over	LENNY KRAVITZ
6.	Temptation	CORINA
7.	Fading Like A Flower	ROXETTE
8.	I'll Be There	THE ESCAPE CLUB
9.	Right Here, Right Now	JESUS JONES
10.	Wind Of Change	SCORPIONS

Albumy

1.	Unforgettable	NATALIE COLE
2.	For Unlawful Carnal Knowledge	VAN HALEN
3.	Spellbound	PAULA ABDUL
4.	Gonna Make You Sweat	C&C MUSIC FACTORY
5.	Luck Of The Draw	BONNIE RAITT
6.	Out Of Time	R.E.M.
7.	Robin Hood: Prince Of Thieves	ORIGINAL SOUNDTRACK
8.	Cooley High Harmony	BOYZ II MEN
9.	Time, Love And Tenderness	MICHAEL BOLTON
10.	No Fences	GARTH BROOKS

wg „Billboard" 10.08.1991

Moloch w rozkładzie

Telewizja. Oglądamy ją codziennie. Stała się nawet jednym z domowników. Niestety, od chwili gdy minęła fascynacja ruchomym obrazem coraz więcej słychać na nią narzekań i skarg. Wszyscy zgadzają się, że powinna się zmienić, tymczasem zmieniają się jedynie jej szefowie. Niewiele z tego wynika pomijając fluktuację kadr. We wczesnych latach osiemdziesiątych żartobliwie określano zmiany w telewizji twierdząc, że jedyną zaistniałą było przesunięcie w DTV Ireny Falskiej z godz. 16 na 20.

Dzisiejsza telewizja wywołuje również ogromne emocje, prowokuje dyskusje. Wiele w nich sprzeczności, zdenerwowania, atmosfery niepokoju. Pewne jest jedynie to, że telewizja polska lat dziewięćdziesiątych nie może być monopolistyczna. Jako instytucja powinna zostać oddzielona od rządu, władz lokalnych i mieć dużo pieniędzy. Czy natomiast państwowa telewizja ma być scentralizowana, podobnie jak teraz – niemal totalitarna – ten fakt budzi poważne wątpliwości. Coś się jednak zmienia, ale na antenie jest to prawie niezauważalne.

Dotychczasowe działania kolejnych prezesów Radiokomitetu skierowane były głównie w stronę reformy organizacyjnej (choć i bez niej wiele nierentownych działów molocha bankrutuje). Żaden z dotychczasowych szefów nie zaprezentował pomysłów, które byłyby widoczne na antenie. Zmiany programowe ograniczają się do nowych ramówek, zmuszających telewidownię do kolejnych przyzwyczajeń. W chwili obecnej należałoby oczekiwać, by telewizja publiczna chcąc poszerzyć ofertę programową współpracowała z niezależnymi, prywatnymi producentami. Ci ostatni, choć do współpracy gotowi, nie mają jednak ochoty ponosić ryzyka finansowego. Zarzucają więc, i chyba słusznie, że mimo oficjalnych kłopotów finansowych, telewizja angażuje się w chybione z punktu widzenia artystycznego programy. Władze Radiokomitetu natomiast w dalszym ciągu nie widzą powodów, by producentowi zewnętrznemu gwarantować z góry – niejako w ciemno – pieniądze na produkcję, na którą nie będą miały wpływu. Batalia trwa.

Wszyscy z niecierpliwością oczekują uchwalenia przez Sejm Ustawy o Radiu i Telewizji, która pozwoli na przyznawanie licencji telewizyjnych. Czy jednak telewizja komercyjna zaspokoić może oczekiwania widzów? Wszak dla utrzymania się na rynku będzie musiała realizować program nie ambitny, a przede wszystkim kasowy. Jaka zatem powinna być proporcja między programami krajowymi a zagranicznymi? Z drugiej strony, czyż obecna telewizja nie zapycha czasu antenowego natrętnymi powtórkami i tanią amerykańską produkcją? Koszt kilku godzin emisji filmu zakupionego na Zachodzie równoważy zaledwie godzin programu własnego. Budowanie repertuaru w oparciu o zagraniczną (najczęściej tandetną) produkcję prowadźić musi do zaniku polskiej kultury telewizyjnej. Poza tym, przy okazji takich zakupów pieniądze odpływają za granicę. Stabilny system finansowania to kolejny węzeł gordyjski na drodze do normalności. Telewizja komercyjna jakoś sobie poradzi, ale państwowa?

Jaka zatem telewizja może zapewnić nam właściwe warunki pielęgnacji kultury w Polsce? Prawdopodobnie ta, która powstanie za 8-10 lat. Wtedy to, wracając z lekkiej i dobrze płatnej pracy, weźmiemy w domu do ręki pilota i „poskaczemy" po 20 kanałach emanujących ambitną, polską produkcją i doskonałymi serwisami informacyjnymi. Tymczasem pozostaje nam ziewanie i oczekiwanie na obalenie monopolu państwowej telewizji.

Michał Lenarciński

30 pytań do...

TOMASZ BEKSIŃSKI – redaktor muzyczny III programu PR, tłumacz filmów dla ITI, współtwórca „Sisterhood Productions" (prywatna produkcja teledysków)

Stan cywilny, dzieci: Kawaler, dzieci na szczęście nie mam.
Wyuczony zawód: Anglista.
Zwierzęta domowe: Nie mam.
Samochód: Nie posiadam, nie umiem prowadzić.
Ulubiona potrawa i napój: Spaghetti z zimną coca-colą.
Kolor: Czarny.
Hobby: Kino, wideo.
Zalety: Punktualność i słowność.
Wady: Cholernie jestem nerwowy i wybuchowy. Bardzo łatwo wpadam w furię.
Największy życiowy sukces: Wykonywany zawód.
Największa życiowa porażka: Anka.
Co cię najbardziej śmieszy: Monthy Pyton.
Co cię najbardziej denerwuje: Kościół w Polsce.
Gdzie chciałbyś spędzić urlop: W Japonii.
Marzenia: Spotkać Kate Bush.
Osoba, której najwięcej zawdzięczasz: Mój ojciec.
Postać, którą podziwiasz: Inspektor Harry Callahan.
Ideał kobiety: Perwersyjna brunetka, niepaląca papierosów.
Ulubione programy TV lub radiowe: Serial „Twin Peaks", radia nie słucham.
Najchętniej czytane tytuły prasowe: „NIE" – wyłącznie.
Ulubieni pisarze: Edgar Alan Poe i Raymond Chandler.
Ostatnio przeczytana książka: „Makabreski" Daphne Du Maurrier.
Ulubieni aktorzy: Zdecydowanie Clint Eastwood.
Ulubione filmy: „Czas Apokalipsy", „Lisztomania".
Ostatnio obejrzany film: „Żółtodziób" z Clintem Eastwoodem
Preferowany rodzaj muzyki: Rock progresywny.
Ulubieni wykonawcy: The Moody Blues, Peter Hamill, The Sisters Of Mercy, Legendary Pink Dots.
Obejrzany koncert nr 1: Elton John w Sali Kongresowej.
Zdecydowanie nie słuchasz: Muzyki disco.
Dewiza życiowa: Albo będzie tak jak ja chcę, albo nie będzie w ogóle.

pytał
Andrzej Woszczyk

ELTON JOHN

„The Very Best Of Elton John"

Your Song /Daniel/ Goodbye Yellow Brick Road /Don't Go Breaking My Heart/ Sorry Seems To Be Hardest Word /Rocked Man /Blue Eyes/ I Guess That's Why They Call It The Blues /I'm Still Standing/ Kiss The Bride /Sad Song Say So Much/ Passengers/ Nikita/ Wrap Her Up/ Candle In The Wind/ Saturday Night's Alright (Fot Fighting)/ I Don't Wanna Go On With You Like That/ Philadelphia Freedom /Sacrifice/ You Gotta Love Someone

PHONOGRAM 90 min.

Elton John to jedna z najbarwniejszych postaci współczesnej sceny pop. Mimo, że od jego debiutu upłynęło ponad 25 lat, to przez ten cały okres utrzymuje się w ścisłej czołówce najpopularniejszych wykonawców, a jego utwory okupują niezmiennie listy przebojów.

Ten brytyjski wokalista, kompozytor i pianista urodził się 25 marca 1947 r. w Pinner jako Reginald Kenneth Dwight. Swoją artystyczną karierę rozpoczął w 1964 r., kiedy to przyłączył się do zespołu Bluesology. Następnie nawiązał współpracę z brytyjskim wokalistą „Long" Johnem Baldrym. W roku 1967 przybrawszy pseudonim Elton John (od imion przyjaciół – Eltona Deana i Johna Baldry'ego) rozpoczął karierę solową. W tym samym roku poznał 17-letniego rolnika – Bernie Taupina, który odtąd stał się jego stałym autorem tekstów.

Pierwszą ich wspólną płytą był album „Empty Sky" (1969). Jednak dopiero w 1971 r., za sprawą pierwszegp ich wspólnego wielkiego przeboju „Your Song", trafili na listy przebojów. Po założeniu swojej pierwszej grupy akompaniującej – Elton John Group – powstała płyta „Honky Chateau" (1972), z której pochodził następny przebój spółki John/Taupin – „Rocket Man". Piosenkarz zwraca uwagę krytyków i słuchaczy oraz zostaje obwołany „pierwszą sensacją lat 70. w muzyce pop".

Następne albumy Eltona Johna: „Don't Shoop Me, I Am Only Piano Player" i „Goodbye Yellow Brick Road" z 1973 r. potwierdzają przynależność wykonawcy do grona największych gwiazd światowych estrad. Znajdujące się na nich utwory: „Daniel", „Crocodile Rock", „Goodbye Yellow Brick Road", „Benny And The Jets", „andle In The Wind" stały się kolejnymi hitami. W tym samym roku Elton John stworzył własną firmę płytową – „Rocket Record". Podczas koncertów szokował fantazyjnymi kostiumami, różnorodnością butów, okularów i niekonwencjonalnymi nakryciami głowy. Jego ekstrawagancje z lat 70. przypominały ekscesy wielkiego Salvadora Dali, dla innych był tylko kopią „Wladzia" Liberace.

W 1976 r. spółka John/Taupin rozpadła się, a wielu krytyków obwieściło, że to koniec jego kariery, ale w lipcu tego roku wykonywany w duecie z Kiki Dee utwór „Don't Go Breaking My Heart" trafił na pierwsze miejsce brytyjskiej listy przebojów. Po kilkumiesięcznej rozłące wraca do współpracy z Bernie Taupinem oraz zostaje... prezesem piłkarskiego klubu Watford. „Fabryka" przebojów John/Taupin wypuszcza następne hity „I'm Still Standing", „Kiss The Bride", „Sad Songs Say So Much", „Passengers", „Nikita", a sam Elton (mimo znanych upodobań) zawarł związek małżeński z... kobietą. Na krótko.

Lata 1986/87 to wielka światowa trasa koncertowa, której owocem była płyta „Live In Australia" nagrana z Orkiestrą Symfoniczną z Melbourne. Po krótkiej przerwie, która była spowodowana operacją gardła, na rynku ukazała się kolejna płyta Eltona „Sleeping With The Past". Płyta zawierała przede wszystkim spokojne, liryczne ballady, z których jedna – „Sacrifice" – trafiła na pierwsze miejsce brytyjskiej listy przebojów. Po operacji gardła głos Eltona wrócił do swojej dawnej formy. Wytwórnia idąc za ciosem wydała „The Very Beast Of Elton John" w wersji kompaktowej (2 CD) oraz na kasecie wideo.

Kaseta wideo zawiera 20 największych przebojów Eltona Johna z lat 1971-90. Jest podsumowaniem jego dorobku i pokazuje, że nawet najstarszych jego piosenek słucha się i ogląda z dużą przyjemnością. Poza dwoma utworami („Don't Go Breaking My Heart" i „Blue Eyes") pozostałe to kompozycje tandemu John/Taupin. Wszystkie utwory są znakomicie wykonane, niezwykle starannie i różnorodnie zaaranżowane. Jego muzyka nie ulega modom i trendom, Elton John zawsze pozostaje sobą. Można go określić jako artystę komercyjnego, ale jest to komercja na najwyższym poziomie. Jego piosenki podobają się zarówno młodym jak i starszym odbiorcom.

Oglądając kolejne teledyski można prześledzić jak zmieniał się image Eltona Johna oraz jak zmieniała się technika nakręcania teledysków. Te z lat 70, to po prostu zapis z koncertów lub audycji telewizyjnych, natomiast teledyski z lat 80. to już krótkie filmy z fabułą i zmieniającą się szybko akcją, reżyserowane przez zawodowych reżyserów (m.in. „Nikita" przez samego Kena Russella!). Obecnie, za sprawą przede wszystkim MTV, teledyski-tak jak wcześniej single – mają duże znaczenie przy promocji płyt i samych wykonawców.

Do teledysków zawartych na tej kasecie wraca się zawsze z dużą przyjemnością. Każdy, kto lubi Eltona Johna, powinien posiadać tę kasetę w swojej domowej wideotece lub przynajmniej ją obejrzeć.

Andrzej Woszczyk

Muzyczny serwis

Z kraju

● Nagrodę jury (10 mln zł) na festiwalu Jarocin'91 zdobył zespół Holy Dogs z Tarnobrzegu. Publiczność swoją nagrodę przyznała polsko-amerykańskiej grupie Beer Goggles z Chicago. Dobrze wypadły łódzkie grupy: Klaatu (w konkursie) oraz Jezabel Jazz (gość festiwalu).

● Najbliższe atrakcje TV to: koncerty Phila Collinsa i Billy Idola.

● Grupa Marillion potwierdziła swój przyjazd na festiwal Sopot'91.

Ze świata:

● Popularna w latach 60. i 70. grupa Wishbone Ash nagrała nową płytę „Strange Affair". Trzech członków ze starego składu (Martin Turner, Ted Turner, Andy Powell) wspomagają Robbie France i Ray Weston.

● Na nowej płycie Tony Banksa (Genesis) „Still" śpiewają Fish (ex-Marillion) oraz Nik Kershaw.

● W listopadzie ma odbyć się wielki koncert w związku z 10 rocznicą MTV. Imprezę ma uświetnić występ Michaela Jacksona.

● M.C. Hammer wyzwał Michaela Jacksona na pojedynek... taneczny. Jackson zbył to milczeniem.

● Chicagowska wytwórnia „Alligator", specjalizująca się w bluesie, na swoje 20-lecie wydała dwupłytowy album wykonawców związanych z tą wytwórnią, m.in. Koko Taylor, Johnny Winter, James Cotton, Junior Wells i Carey Bell.

● Nowa płyta Jamesa Browna „Love Overdue" zawiera osiem utworów napisanych przez Browna podczas jego pobytu (2,5 roku!) w więzieniu.

● „Dedicated" – to tytuł płyty, na której znani wykonawcy m.in. Bruce Hornsby, Suzanne Vega, Elvis Costello, Cowboy Junkies, Jane's Addiction, Midnight Oil śpiewają piosenki słynnej grupy Greateful Dead. Płyta została wydana z okazji 25 rocznicy powstania tej grupy.

● Nowa płyta Toto będzie miała tytuł „Kingdom Of Desire" i pojawi się na rynku w styczniu.

● Vanilla Ice zakupił za 300 tys. dolarów najnowszy model „Porsche" wykonany na zamówienie, z silnikiem o mocy 500 KM oraz aparaturę stereo 1600 W.

● Nagrody Grammy będą wręczane drugi raz z rzędu w Nowym Jorku, w lutym 1992 r.

● Najlepiej sprzedawaną płytą jazzową jest „From Mo'Better Blues" kwartetu Branforda Marsalisa z gościnnym udziałem trębacza Terense'a Blancharda. Jest to soundtrack z filmu Spike'a Lee.

A.W.

Nowości płytowe

JOHN ABERCROMBIE – Animato
ART ENSEMBLE OF CHICAGO – Art Ensemble Of Soweto
HARRY CONNICK JR. – We Are In Love
CRUSADERS – Healing The Wounds
RICKY FORD – Ebony Rhapsody
JAN GARBAREK – I Took Up The Runes
DIZZY GILLESPIE AND THE UNITED NATION ORCHESTRA – Live At The Royal Festival Hall
THE HARPER BROTHERS – Artistry
GENE HARRIS & THE PHILLIP MORRIS SUPERBAND – World Tour 1990
JOHN HICKS (CECIL McBEE) ELVIN JONES – Power Trio
KEITH JARRETT – Tribute
MARC JOHNSON – Two By Four
EARL KLUGH – Midnight In San Juan
ABBEY LINCOLN – The World Is Falling Down
MASQUALERO – Re-Enter
CARMEN McRAE – Sarah – Dedicated To You
ELLIS MARSALIS – Ellis Marsalis Trio
DIANNE REEVES – I Remember
PAQUITO D'RIVERA – Reunion
ARTURO SANDOVAL – Flight To Freedom
JOHN SURMAN – Road To Saint Ives
KENNY WHEELER QUINTET – The Widow In The Window

Podsłuchane podpatrzone odnotowane

Łodzianka w Nowym Jorku

Kiedy przed 6 laty zaprezentowałem w „Odgłosach" obszerny wywiad z fotomodelką i modelką „Telimeny" – **MARLENĄ BIELIŃSKĄ** („Sfinks") był on szeroko komentowany nie tylko wśród branży ludzi związanych z modą. Marlena Bielińska nie była wtedy gwiazdą „Neue Mode", „Brigitte", „Vogue", „Harper's Bazaar", „Madame Figaro", „Oficielle", „Mademoiselle Magazin" i tysięcy katalogów amerykańskich. Dziś jej niezliczone zdjęcia ukazują się właśnie w tych renomowanych w świecie wydawnictwach. Wówczas Marlena była bardzo znaną i wziętą w Polsce fotomodelką i modelką, której twarz spoglądała na Polaków z okładek, folderów, kalendarzy dosłownie wszędzie.

Była dzieckiem delikatnym, nieśmiałym, które niezbyt często pozwalało się fotografować. Wyjątek stanowiły zdjęcia z matką (niezwykle piękną kobietą), ale od czasu, gdy ją straciła, została zupełnie sama. Nie miała żadnej rodziny. Nikogo. Była niepozornym, brzydkim kaczątkiem, zawsze zbyt szczupła, prawie chuda. Kształty dziewczęce straciła dopiero po 15 roku życia i bardzo późno zaczęła nabywać pewności siebie, której brak utrudniał kontakty z rówieśnikami. Bardziej podobała się dorosłym niż rówieśnikom. Mało tego – była dziewczyną z kompleksami. Nie wierzyła w siebie. Była dzieckiem introwertycznym.

Nigdy nie myślała, żeby zostać np. modelką. Została nią po namowie dyrektora artystycznego Domu Mody „Telimena". Debiutowała w rewii mody prezentowanej przez „Telimenę" w Teatrze Wielkim w Łodzi. Z tego debiutu zapamiętała uwagi pań plastyczek, dotyczące zbyt długiej szyi i konieczności tuszowania zbyt wąskiej talii i zbyt dużego biustu. Takie były początki kariery Marleny Bielińskiej z ul. Karolewskiej w Łodzi (wynajmowane mieszkanie).

Do Nowego Jorku wyjechała na zaproszenie w celach turystycznych. Miała pieniądze na dwa tygodnie pobytu. Nie planowała tam pozostać, o czym opowiadała mi tuż przed odlotem podczas pożegnalnej wizyty. Nie podejrzewała, że może kogokolwiek sobą zainteresować. Poniżej jej godności było zmywanie naczyń w amerykańskiej knajpie lub sprzątanie sklepu. W Polsce studiowała psychologię i biologię, a te naukowe zainteresowania nie szły w parze z niczym, co mogłaby tam robić, w dodatku bez znajomości języka.

Wszystkim rządzi przypadek. U znajomych, którzy dali jej w Nowym Jorku dach nad głową, był właściciel prywatnego hotelu. W nim zatrzymywały się modelki agencji Forda; ów pan namówił Marlenę Bielińską, aby zgłosiła się do Forda, bo uważa, że ma spore szanse. Do bossa agencji została dopuszczona tego samego dnia, co zdarza się w Ameryce niezwykle rzadko. Następnego dnia miała pierwszą sesję zdjęciową dla „Harper's Bazaar", jednego z najbardziej znanych magazynów mody w Ameryce.

Później zaaranżowano spotkanie z szefem agencji „Elite" ze słynnym reżyserem filmowym Olivierem Stone (laureatem Oscara za film „Pluton") i... rola w filmie „Wall Street". Ponieważ nie zgodziła się pójść z reżyserem do łóżka, ujęcia z nią zredukowano, ale poznała wielu amerykańskich artystów. Zagrała w filmie amerykańskim, jej nazwisko i imię ukazało się na ekranie.

Reklamowała kostiumy kąpielowe, bardzo elegancką bieliznę i kosmetyki, wymagające dużych zbliżeń twarzy. Mało tego, spróbowała swoich sił w prozie, wydała nowelę w literackim magazynie amerykańskim, zajęła się bardzo poważnie fotografią. Dziś nie tylko ukazuje się na zdjęciach w najbardziej renomowanych wydawnictwach świata, zajmuje się promowaniem młodych dziewcząt – robi im zdjęcia, przygotowuje je do fotografowania, doradza jak mogą wypracować własny styl. Dziś Marlena Bielińska jest art director.

Niedawno odwiedziła Polskę, była przez parę godzin w Łodzi. Chciała wybrać dla agencji „Elite" jedną wspaniałą dziewczynę, której pomagałaby opanować amerykański rynek modelek. Zgłosiło się 800 kandydatek, ale tylko nad trzema mogła się zastanowić.

Polki mają niepospolity wdzięk, połączony ze szczególną wrażliwością i wyobraźnią, co nie jest często spotykane u naturalnie pewnych siebie kobiet Zachodu. Może dlatego Marlena Bielińska zrobiła w Stanach Zjednoczonych oszałamiającą karierę fotomodelki. Ma własny styl, cudowną twarz pełną wyrazu, niesamowite zielone oczy wyjątkowej urody. Jest kobietą onieśmielającą stanowczością, obyciem towarzyskim i elegancją. Jest wielką damą, jest milionerką.

Mam nadzieję, że już niebawem zaprezentuję ją Czytelnikom „Odgłosów" w nowym wywiadzie, po 6-letniej przerwie od poprzedniego, przygotowanym w relacji Łódź – Nowy Jork.

Redaguje:

Bohdan Gadomski

Masywny rzeźnik, w którego powłoce zamieszkał najpiękniejszy głos stuleci mierzy 180 cm wzrostu i waży 170 kg. W lewej ręce zawsze w czasie koncertów trzyma (na szczęście) białą chustkę, co sytuuje go jeszcze bliżej sfery kramarskiej. Pod brodą, a może raczej pod gardłem wspina mu się niby czteropiętrowa kamienica z oficyną – biała muszka. Na brzuchu nigdy nie dopięty frak. Kiedy się nań patrzy, dochodzi się do przekonania, iż nieprawdą jest jakoby mastodonty wyginęły. Niektórzy mówią o nim „wesoły Goliat".

Gdy ulubieniec świata **Luciano Pavarotti** święcił jubileusz 30-lecia swej niewiarygodnej wręcz kariery – jego wejście na estradę Hyde Parku powitał przeciągły ryk zachwytu trzystutysięcznego tłumu. Najwybitniejszy z żyjących tenor zgromadził na swym koncercie dwukrotnie więcej publiczności niż rekordziści w tej dziedzinie – zespół The Rolling Stones. Za sprawą bezpośrednich transmisji w wieczorze 30 lipca uczestniczyło ok. 1,5 mld ludzi skupionych przed ekranami telewizorów. Sam mistrz wydawał się być szczerze wzruszony tak gorącym przyjęciem, ale tak naprawdę nie było ono dla niego zaskoczeniem. Czegóż innego miał się spodziewać?

Mistrzostwo i ekspresja jego głosu idąca w parze ze swobodą bycia i łatwością nawiązywania kontaktu z publicznością jest czymś niezmiernie rzadko dziś spotykanym. Któż inny umiałby tak fenomenalnie zawładnąć tłumem, korzystając wyłącznie z siły swego talentu i osobowości wyrażanej poprzez muzykę. Gdy dodać jeszcze do tego niezwykłą precyzję i łatwość techniczną w pokonywaniu najbardziej karkołomnych zadań tkwiących w partyturach...

Niewielu wie, że Pavarotti był pierwszym tenorem, który w „Córce pułku" G. Donizettiego wysokie C zaśpiewał dziewięć razy! Popisywanie się tym dźwiękiem ma w sobie coś z akrobatyki wokalnej. Toscanini zwykł mawiać, że wysokie dźwięki wibrują w czaszkach tenorów szkodząc ich inteligencji. Ta złośliwa uwaga nie rymuje się z Pavarottim: wysokie C „bierze" on z niespotykaną miękkością i łatwością, a brzmienie jego głosu jest przy tym naturalne, niczym nie ograniczone.

Publiczność jubileuszowego wieczoru długo nie chciała pożegnać swego ulubionego „wysokiego C". Ten zaś dziękując za gorące przyjęcie szalenie elegancko uhonorował obecną na występie księżniczkę Dianę dedykując jej jeden z bisów. Ostatnim bisem tego wieczoru wykonanym dla świata była słynna „Nesun dorma" z „Turandot" G. Pucciniego. O tej arii i wysokim w niej H powiedział kiedyś: *„H w* Nesun dorma *jest w rzeczywistości dużo trudniejsze niż C, ponieważ poprzedza je trudne podejście i trzeba się przebić przez orkiestrę".*

Luciano Pavarotti swym głosem przebił się przez wielką historię wokalistyki. Londyńskim występem potwierdził przed całym światem swą niezachwianą od lat pozycję najwybitniejszego, mnie zaś sprowokował do ułożenia takiego oto równania: Carreras + Domingo = Pavarotti.

I biada temu, kto myśli inaczej.

me/ga/loman

Czeka mnie trudne zadanie

rozmowa z Antonim Wicherkiem – dyrektorem Teatru Wielkiego

Spekulacje i domysły zdawały się nie mieć końca. Wszechobecna plotka (eufemistycznie zwana czasem famą) przeżywała nader bujny rozkwit. Czyje nazwiska stanowią ów doprawdy imponujący liczebnie, a nikomu poza wojewodą Bohdanowiczem nie znany, zestaw piętnastu kandydatów, którzy zgłosili chęć kierowania Teatrem Wielkim? – odpowiedzi na to pytanie ani zespół tego teatru, ani najbardziej nawet dociekliwi dziennikarze nie otrzymywali przez kilkanaście tygodni. Mijający czas podsycał ciekawość, mnożył przypuszczenia, a nawet podnosił stawki licznych zakładów. Wojewoda korzystał z prawa do głębokiego namysłu; namysłu, który w kwestii tak ważnej jak decyzja o obsadzeniu stanowiska dyrektora wiodącej sceny operowej w kraju, jest nie tylko przywilejem, ale i obowiązkiem.

Dziś, gdy powszechna ciekawość została zaspokojona informacją, iż Teatrem Wielkim kierować będzie ANTONI WICHEREK, entuzjaści tej sceny nie mają już wątpliwości, iż oddano ją we właściwe ręce. Na jej czele staje bowiem artysta wielkiego talentu i doświadczenia, który całe swoje życie związał ze sztuką operową.

– Muzyka towarzyszyła mi od najwcześniejszych lat. Bez cienia przesady mogę powiedzieć, iż mój związek z nią zaczął się w najwcześniejszym dzieciństwie. Pochodzę bowiem z bardzo muzykalnej i muzykującej rodziny, która od pokoleń czciła ją i uprawiała. Dziadkowie grywali na różnych instrumentach. Moja matka do dziś gra na gitarze i organach, a nieżyjący już ojciec w chwilach wolnych od wykonywania zawodu maszynisty kolejowego prowadził orkiestrę mandolinistów. Pochodzę ze Śląska, gdzie jeszcze do niedawna tradycje wspólnego, rodzinnego i sąsiedzkiego muzykowania były bardzo silne. Chętnie też razem słuchano muzyki. Pamiętam, że gdy za sprawą ojca właśnie w naszym domu pojawił się pierwszy w okolicy odbiornik radiowy, to ci sąsiedzi, którzy nie mieścili się w mieszkaniu moich rodziców, pod jego oknami słuchali płynącej zeń muzyki. Kochaliśmy ją wszyscy. Jakże więc mógłbym z inną dziedziną sztuki wiązać swą zawodową przyszłość? Miłość do niej była najsilniejsza i aczkolwiek przed ukończeniem studiów muzycznych zgłębiałem tajniki prawa, to jednak muzyka zwyciężyła. Była moim przeznaczeniem. Okazało się zresztą, że nie tylko moim. Muzykiem jest także mój brat Henryk, który obowiązki profesora Szkoły Muzycznej godzi z funkcją dyrygenta Operetki Gliwickiej. Tej samej muzie poświęcili się również jego dwaj synowie: Tadeusz – dyrektor Filharmonii Jeleniogórskiej i dyrygent Warszawskiej Opery Kameralnej oraz Dariusz – absolwent katowickiej PWSM.

Foto: Małgorzata Kujawka

– Wielkie triumfy na licznych operowych scenach, ostatnio w słynnej Metropolitan Opera w Nowym Jorku, święci także pańska małżonka, wybitna śpiewaczka Hanna Lisowska.

– Cieszę się z jej sukcesów. Żałuję tylko, że odmienny harmonogram naszych zajęć nie zawsze pozwala mi być ich świadkiem. Oboje pracujemy bardzo intensywnie i rzadko udaje nam się „zgrać" terminy naszych występów. Sztuka wzięła nas w niewolę. Nie oddała się w nią jedynie moja córka, która porzuciwszy grę na skrzypcach, poświęciła się farmacji.

– „Poplotkowawszy" nieco o rodzinie, proszę powiedzieć nam co skłoniło Pana do przyjęcia „łódzkiej" propozycji?

– Znając łódzki Teatr Wielki, którego dorobek i poziom oceniam niezwykle wysoko, nie dałem się długo namawiać do jej przyjęcia. Proszę mi wierzyć, że taka propozycja to prawdziwy zaszczyt. Teatr Wielki w Łodzi ma znakomity zespół o nie ograniczonych wręcz możliwościach wykonawczych i nadzwyczajną akustykę oraz wrażliwą, serdeczną, zakochaną w nim publiczność. Jeśli dodać do tego znaną z wielkiej dlań życzliwości łódzką prasę, to czegóż chcieć więcej... Czegóż więcej mógłby życzyć sobie artysta pragnący realizować swoją wizję współczesnego teatru operowego? Proszę mi wierzyć, że niewiele jest w Europie ośrodków mogących zaoferować tak doskonałe, sprzyjające twórczej pracy warunki artystycznego działania.

Ich przykrą przeciwwagą są niestety najogólniej mówiąc nieciekawe uwarunkowania ekonomiczne, w jakich działają dzisiaj wszystkie instytucje artystyczne, ale jak wszyscy wiemy, są one pochodnymi ogólnej sytuacji gospodarczej, która nie pozostawia nas bez obaw o powodzenie wszelkich przedsięwzięć kulturalnych. Wszak nie znaczy to jednak, byśmy mieli rezygnować z naszych ambicji. Tego po prostu uczynić nam nie wolno, ale też o owych uwarunkowaniach nie wolno nam zapominać.

Przed łódzkim Teatrem Wielkim i w szczególny sposób przede mną stoją wielkie zadania. Trzeba kontynuować jego najlepsze, dawne i nowe tradycje oraz usilnie pracować nad rozwojem tej wspaniałej placówki. Mam świadomość zasług swego poprzednika i cieszę się, że dzięki niezwykłej pracy dyrektora Pietrasa i stworzonego przezeń zespołu nie muszę – co często zdarzało się innym, wyciągać teatru z katastrofy repertuarowej bądź organizacyjnej. Mam także świadomość wspaniale rozbudzonych „apetytów" i oczekiwań łódzkiej publiczności.

– Nasza publiczność ceni sobie nie tylko interesujące realizacje głównego nurtu repertuarowego, ale także takie przedsięwzięcia artystyczne jak Łódzkie Spotkania Baletowe i Warsztaty Operowe. Czy będzie Pan kontynuował realizację tych wspaniale zapisanych w tradycji kulturalnej naszego miasta imprez artystycznych?

– Ależ oczywiście! Spotkania to najwspanialszy festiwal tańca, a Warsztaty to wprost fenomen popularyzacji. Jakże mogłoby ich zabraknąć! Uczynię wszystko, by były one równie, choć może inaczej atrakcyjne. Mam też nadzieję, że podobnie atrakcyjne, jak owe osiem – dziesięć w ciągu roku przedpołudniowych niedzielnych spotkań miłośników opery, okaże się dla nich trzysta „pozostałych" wieczorów w naszym teatrze.

– W swych dotychczasowych wypowiedziach dla łódzkiej prasy najwyraźniej unikał Pan „zwierzeń" na temat planów repertuarowych, ale mimo to nie zrezygnuję z pytania o to, czym „premierowo" chciałby Pan wypełnić owych trzysta wieczorów.

– Nie stosując więc uników powiem zatem może jednak nie o planach, a o marzeniach. Czy zaś marzenia przekształcą się w dające się zrealizować plany repertuarowe pokaże czas, który – czego boję się najbardziej – już wkrótce wszystkim nam pokazać może pustą kiesę ze środkami finansowymi na realizację owych zamierzeń. Mówiąc więc o marzeniach, powiem, iż chciałbym, by łódzka publiczność poznała „Holendra Tułacza" Ryszarda Wagnera, „Parię" Stanisława Moniuszki, „Króla Ubu" Krzysztofa Pendereckiego i... i wiele innych wspaniałych dzieł literatury operowej i baletowej. Co się zaś tyczy mojej powściągliwości w informowaniu o planach repertuarowych, to pragnę wyjaśnić, iż w tym względzie powoduje mną bardziej rozwaga niż przesadna ostrożność. Jedynym już skonstatowanym przeze mnie słabym punktem tego teatru jest stan jego finansów, a ponieważ nikt nie obiecywał mi dodatkowych środków (o czym mówię bez żalu, a raczej dla zapewnienia państwa, iż mam świadomość trudnej sytuacji finansowej miasta), przeto zobowiązany jestem do bardzo rozważnego nimi gospodarowania.

– Publiczność oczekuje „wielkich" premier, imponujących dekoracji, bogatych kostiumów i możliwie najjaśniejszych gwiazd wokalistyki i dyrygentury...

– Jestem przekonany, że przede wszystkim publiczność oczekuje d o b r y c h premier i takich realizacji, które najzagorzalszych miłośników gatunku utwierdzać będą w przekonaniu o jego żywotności, a w sceptykach takie właśnie przekonanie zrodzą. Na całym świecie opera przeżywa swój renesans, bo wszędzie najwybitniejsi twórcy prezentują ją tak, by pokazać niezwykłe wręcz bogactwo artystyczne i wielką siłę emocjonalną, jaką ona w sobie niesie. Romain Rolland powiedział, iż „dramat operowy to najbardziej oryginalny twór cywilizacji współczesnej". Chętnie cytując to stwierdzenie pamiętam też jednak słowa Diderota: „Opera zła jest najgorszym z gatunków sztuki, dobra – najlepszym". Zrobię wszystko, by łodzianie nadal cieszyli się jej wielką urodą. Chciałbym, by każdy znalazł tu coś dla siebie. By dobrze czuł się tu zarówno widz o wysmakowanych upodobaniach muzycznych jak i ten, który przyjdzie tu po raz pierwszy. Mam nadzieję, iż głębokich wzruszeń dostarczymy miłośnikom „od Wagnera po Offenbacha". Chętnie „otworzę" tę scenę dla dobrego musicalu. Łódzki zespół może wszystko. Ja zaś poświęcam się swej pracy bez reszty.

– Czy starcza Panu czasu na dodatkowe zajęcia, na hobby, pasje kolekcjonerskie, rozrywkę?

– Nie mam żadnych pozazawodowych pasji, jedynym moim hobby jest muzyka, a więc... praca. Wspólnie z wieloletnim, by nie powiedzieć „odwiecznym" moim przyjacielem, wybitnym krytykiem muzycznym i doskonałym popularyzatorem w jednej osobie, Janem Weberem, stwierdziliśmy kiedyś, iż jesteśmy szczęśliwymi ludźmi. Szczęśliwymi, bo obdarowanymi przez los takimi upodobaniami, które mogły stać się naszymi profesjami. Bo wybraliśmy takie zawody, które stały się miłością i pasją naszego życia. Nic więcej ponad to, co robimy nie jest nam potrzebne, swoje potrzeby realizujemy pracą. Czerpiąc z niej wielką radość, cieszymy się, że również innym ludziom daje ona wielką przyjemność.

– My zaś cieszymy się bardzo, mogąc powitać Pana w Łodzi. Z nadzieją na wiele wspólnych przeżyć artystycznych serdecznie dziękuję za rozmowę.

rozmawiała:

Ewa Pankiewicz

Dawna Łódź

Urzędnik musiał być dyskretny

Minęło 5 lat od zakończenia pierwszej wojny światowej. Dla Polski nie były to lata pokoju. Dopiero kształtowały się jej granice. Wybuchały powstania, przez część kraju przetoczyła się wojna radziecko-polska. Dopiero zaczynało się scalanie rozczłonkowanej przez zaborców gospodarki. Dotyczyło to też komunikacji. Prawie połowa mostów była zniszczona. Od lat nic w Polsce nie budowano. Nie było własnej waluty, co utrudniało wszelkie inwestycje i ich kredytowanie. Poszczególne części kraju straciły swoje rynki zbytu, jakie wykształciły się w czasach rozbioru. Królestwo Polskie na przykład utraciło rynki zbytu w Rosji, na które przede wszystkim było nastawione. Brakowało środków produkcji dla rolnictwa, nawozów sztucznych, a na dodatek wieś była przeludniona. Trudno więc się dziwić, że wielu rodzinom, doświadczonym przez wojnę, głód zaglądał w oczy.

Trzeba było jednocześnie od nowa kształtować zasady działania wielu instytucji, w tym samorządu. I właśnie w tym trudnym okresie łódzki Magistrat uchwałą nr 483 z 30 kwietnia 1923 roku przyjął pragmatykę służbową dla pracowników Zarządu m. Łodzi. Opublikowana została w „Dzienniku Zarządu M. Łodzi"w nr. 21 (191) z 19 maja 1923 roku. Jest to dziś tylko dokument historyczny, ale o tyle interesujący, że ówczesny Magistrat potrafił wznieść się nad niemałe bieżące trudności i stworzyć pragmatykę, która miała na całe lata zapewniać przypływ pracowników do Zarządu m. Łodzi. A warto przy tym pamiętać, że był to już czas coraz bardziej szalejącej inflacji. Budżet państwa, który tak trudno było stworzyć, łatany był drukiem „pustych pieniędzy". W 1921 roku w obiegu było 200 miliardów marek polskich, z tego przynajmniej połowa bez pokrycia.

Pragmatyka służbowa jest to – jak powinno być wiadomym – dokument, który określa zasady przyjmowania do pracy, stosunek służbowy oraz prawa i odpowiedzialność pracujących. Określała też zakres odpowiedzialności związków zawodowych pracowników miejskich, jeśli chodzi o przyjmowanie i zwalnianie pracowników.

Pracujących w Zarządzie m. Łodzi dzielono wówczas na trzy grupy: urzędników – zajmujących się tylko pracą umysłową, oficjalistów – zajmujących się pracą umysłową i fizyczną, robotników – zajmujących się tylko pracą fizyczną. Urzędnicy mogli być zatrudniani według XII kategorii. Posiadający wykształcenie wyższe mogli być zatrudnieni od VI do I kategorii, które obejmowały: młodszego referenta, referenta, starszego referentą, kierownika oddziału, zastępcę naczelnika lub wicedyrektora wydziału i naczelnika lub dyrektora wydziału. Ludzie z wykształceniem średnim mogli zajmować stanowiska od IX do VII kategorii: młodszy sekretarz, sekretarz, starszy sekretarz. Natomiast osoby z niepełnym średnim lub tylko z pełnym powszechnym wykształceniem mogły być zatrudniane jako kanceliści (młodszy kancelista, kancelista i starszy kancelista), co mieściło się w kategoriach od XII do X.

Pragmatyka uniemożliwiała rozwój „kumoterstwa" i w artykule 9 stanowiła: *„Małżonkowie, krewni wstępni i zstępni z urodzenia lub przysposobieni, krewni w linii bocznej do 3 – oraz powinowaci do 2 stopnia włącznie nie mogą być urzędnikami w tym samym Wydziale lub Oddziale"*. Natomiast artykuł 23 zakazywał wykorzystywania służbowych informacji dla celów prywatnych. Stanowił on: *„Urzędnik obowiązany jest zachować w ścisłej tajemnicy wszystkie sprawy, o których wie dzięki swemu stanowisku służbowemu lub o których się przy wykonywaniu swych obowiązków służbowych dowiedział, o ile te sprawy uznane są przez przełożonego za poufne lub gdy utrzymania ich w tajemnicy wymaga dobro publiczne lub miasta. Urzędnikowi nie wolno wyrażać poza urzędem zdania o załatwianych w urzędzie sprawach interesantów i prawdopodobnym ich wyniku"*.

Urzędnik nie mógł jednocześnie pełnić funkcji z wyboru. Artykuł 44 nakazywał mu zawiesić na czas pełnienia mandatu swój urząd, po czym wracał do pracy i czas pełnienia funkcji z wyboru zaliczano mu do czasu służby. Artykuł ten zapewniał, że *„działalność urzędnika w czasie sprawowania mandatu nie pociąga za sobą żadnych represji służbowych"*.

Pragmatyka ta zapewniała (artykuły 31 i 32) emerytury pracownikom, a na wypadek ich śmierci rodzinom oraz bezpłatną opiekę lekarską pracownikom i najbliższej rodzinie. Każdy pracownik miejski, który przepracował 10 lat, a na skutek utraty zdrowia nie mógł dalej pełnić swych obowiązków, miał prawo do dożywotniego zaopatrzenia emerytalnego. Pracownik, który na skutek nieszczęśliwego wypadku nie mógł dalej pracować, miał prawo do dopisania do wysługi lat 10 lat pracy i otrzymywał emeryturę. Emerytura składała się: z płacy zasadniczej, dodatku drożyźnianego, dodatku za wysługę lat, za studia wyższe i pracę na kierowniczych stanowiskach. Po śmierci emeryta połowę wysokości jego emerytury otrzymywała żona. Po 20 latach służby i ukończeniu 55 roku życia pracownik Zarządu m. Łodzi miał prawo przejść na emeryturę. Mógł z tego prawa nie skorzystać. Ale już po ukończeniu 60 roku życia zostawał przeniesiony na emeryturę.

Warto przy tym pamiętać – jak pisze Paweł Zaremba w drugim tomie „Historii dwudziestolecia (1918-1939)" – że *„Polska była jedynym z nowo powstałych państw europejskich, które zdobyło się na wprowadzenie ochrony pracy i opieki społecznej, zanim jeszcze nawiązano stosunki dyplomatyczne..."*.

Jerzy Glinik

Na Inżynierskiej

Łodzianie, którzy wysłuchali 18 kwietnia 1926 r. pierwszego w Polsce programu radiowego ze studia w warszawskim Towarzystwie Kredytowym Ziemskim, zadali sobie, być może, pytanie, kiedy powstanie radiostacja w Łodzi. Tymczasem radiofonia zdobywała coraz więcej entuzjastów, krytycy ograniczali się do utyskiwania na złą jakość programów, wysoką cenę radioodbiorników, marnotrawstwo czasu przy słuchaniu radia.

Radiostacja łódzka znalazła tymczasową siedzibę w niewielkim ceglastoczerwonym budyneczku w samym końcu ul. Inżynierskiej. Równocześnie wznoszono maszt antenowy, choć studio nie posiadało jeszcze wyposażenia, zamawianego właśnie w londyńskiej firmie „Marconi Wireless Telegraph Co". 12 stycznia 1930 r. przybył z Londynu przedstawiciel firmy inż. Peterson, by osobiście nadzorować instalację aparatury, a już 28 stycznia popłynęła w eter pierwsza fala nośna, przy czym okazało się, że zawiódł modulator dźwięku. Wkrótce naprawiono aparaturę i na początku lutego nadano ze studia łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia próbną transmisję muzyki fortepianowej z płyt. 15 marca uroczyście otwarto rozgłośnię, a wzruszony wojewoda łódzki **Władysław Jaszczołt** powiedział: *„Po raz pierwszy stając przed mikrofonem doznaję dziwnego wrażenia na samą myśl, że w tej jednej chwili nawiązała się cudowna łączność pomiędzy mną a całym terenem powierzonego mi województwa"*.

Studio przy ul. Inżynierskiej przestało zaspokajać potrzeby rozbudowującej się rozgłośni. 11 października 1937 r. rozpoczęto budowę nowego gmachu rozgłośni przy zbiegu ulic Narutowicza i Stachiewicza (obecnie Krzywickiego). Budynek miał posiadać sutereny, wysoki parter i dwa piętra o łącznej kubaturze 7500 m³. Od ulicy Narutowicza mieściły się korytarze, poczekalnie i biura, od ul. gen. Stachiewicza studia: wielkie, literacko-kameralne, odczytowe, spikerskie i pomocnicze, przed gmachem stanął wysoki na 50 m maszt antenowy. Nowa radiostacja miała moc 8-10 kW, pozwalającą na dobrą słyszalność w obrębie całego województwa.

Pod koniec 1932 r. rozgłośnia uzyskała zgodę na posiadanie własnego sygnału. Zaprojektowano czteroakordowy sygnał dźwięku dzwoneczków o miłej tonacji. Mechanizm wykonano z żelaza, mosiądzu i drewna, a zainstalowano w lutym 1933 r.

Twórcą i budowniczym łódzkiej radiostacji był inż. **Władysław Heller,** kolejnymi dyrektorami: **Tadeusz Jarzębowski, Bohdan Pawłowicz** i **Stanisław Nowakowski.** Ich wspólnym sukcesem było stopniowe przekształcenie rozgłośni przekaźnikowej w nadawczą, w znacznym stopniu uczestniczącą w ogólnopolskim programie Polskiego Radia. Z radiostacją związali się późniejsi znani dziennikarze radiowi: **Benedykt Stefański, Jan Piotrowski, Stanisław Sapociński, Ludwik Szmulewski, Bolesław Busiakiewicz.** W 1938 r. powołali oni do życia Klub Dziennikarzy Radiowych, wchodzący w skład Syndykatu Dziennikarzy Łódzkich.

W maju 1931 r. do rozgłośni zwróciła się kierowniczka Szkoły Specjalnej nr 82 dla niewidomych z prośbą o pomoc dla jej podopiecznych. Na apele powtarzane przez radio ustami lubianych spikerek **Jadwigi Rothówny** i **Ireny Kietlińskiej** odpowiedzieli ludzie dobrej woli, nadsyłając obfite datki. W kwietniu 1932 r. powołano do życia **Łódzką Rodzinę Radiową,** której prezesem został kolejarz **Józef Wcielicki.** Z ofiar społeczeństwa zorganizowano internat dla ociemniałej dziatwy przy ul. Henryka Sienkiewicza 102 i przystąpiono do budowy gmachu przy ul. Przyszkole.

Rozgłośnia Łódzka Polskiego Radia dokumentowała swą działalność w wydawanych w latach 1935-1939 jednodniówkach, których redakcję powierzono red. **Benedyktowi Stefańskiemu** (za 1936 r. przy współpracy S. Sapocińskiego). Od pierwszej transmisji Rozgłośni Łódzkiej Polskiego Radia minęło z górą 61 lat, pora, by dziennikarze radiowi przejęli tradycję jednodniówki „Fala Łódzka", życzę im tego z całego serca.

Andrzej Kempa

Polemiki

Józef Stalin przestraszył się wojny

– „Reb Meir, słyszeliście, że Jankiel Warszawski zbankrutował w ubiegłym tygodniu?

– Sza, synu. Po pierwsze – nie Jankiel Warszawski, tylko Szmul Perlman. Po drugie – nie zbankrutował, tylko kupił nową kamienicę w pryncypalnej ulicy, po trzecie wreszcie – to było miesiąc temu z okładem".

Specyficzna dielektyka z pogranicza safrinowskiego Chełma i musicalowej Anatewki tyleż ma wspólnego z logiką, co wizja historyczna p. A. Wilczkowskiego (Czy to była wielka mistyfikacja, ODGŁOSY 9) z rzeczywistością „opisanego" w niej prologu wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 roku.

Zacznijmy od bibliografii. Przywołani zostali Heinz Guderian, Georgij Żukow i Wiktor Suworow. Bezsprzecznie śmiałe tezy p. Wilczkowskiego (o sprowokowanej klęsce Armii Czerwonej w 1941 roku, która w makiawelicznym zamyśle, Józefa Stalina uzupełnić miała ludobójstwo dokonane przez NKWD na narodach ZSRR w latach trzydziestych) uzasadnione są dokumentacją cokolwiek, przyznajmy, szczupłą. Tym bardziej że w razie ich skutecznej obrony autor zdobyłby laury światowego sowietologa. W znanej mi, dość obszernej literaturze sowietologicznej Zachodu, nie darzącej bez wątpienia Stalina sympatią i przedstawiającej liczne, wariantowe tezy na temat wydarzeń 1941 roku NIKT zgoła na podobnie oryginalną śmiałą myśl nie wpadł. Przyznam się z pokorą, że i ja, nie dość przecież powściągliwie o Ojcu Narodów się wyrażających, określając go jakiś czas temu mianem „Demona zbrodni i zła", nie przeczuwałem w Józefie Wissarionowiczu aż takiej przebiegłości.

Zanim jednak grono sowietologiczne przyjmie symboliczną lampką szampana nowego znakomitego kolegę, wyłania się parę zagadnień na które radbym zwrócić uwagę P.T. Szanownym Czytelnikom „Odgłosów".

1. CZOŁGI. ZSRR rzeczywiście posiadał nad Niemcami i ich sojusznikami miażdżącą przewagę w LICZBIE czołgów. Tyle tylko, że były to w przeważającej części przestarzałe czołgi z lat trzydziestych. Nowoczesnych, produkowanych od 1940 r. było ok. 1500 sztuk. Czołgi, które weszły do walki w roku 1942 i później to nie rzekomo zmagazynowany za Uralem złom technologiczny z lat trzydziestych, tylko T-34, wobec którego to właśnie Wehrmacht był w praktyce bezradny (patrz Heinz Guderian, Speer, Nicolaus von Belov, Fritz E, Manstein). Czołg czołgowi technologicznie nie równy, co Pan, jako inżynier mechanik, bez wątpienia powinien był zauważyć.

Nie wiem doprawdy, jaka *„większość relacji uczestników"* wspomina o *„całkowitym braku broni pancernej po stronie sowieckiej"?* Nawet przywoływany, a więc przeczytany przez pana W. Guderian wspomina o bitwie pancernej w okolicach Białegostoku. Józef Stalin i sztab Armii Czerwonej nie posiadały natomiast żadnej koncepcji stosowania masowej broni pancernej, przeciwstawiania się im, a także wielkich taktycznych, czy operacyjnych jej związków. Po wymordowaniu w roku 1938 korpusu oficerskiego Armii Czerwonej na czele z marszałkiem Michaiłem Tuchaczewskim, który promował nowoczesne metody walki (m.in. właśnie manewrową wojnę dużych mas pancernych i wojsk spadochronowych) w ZSRR rozformowano istniejące korpusy czołgów i te traktowane były odtąd jako pomocnicza broń piechoty w formacjach nie większych niż brygada (podobnie, jak w Polsce, czy w Francji, odwrotnie niż w Niemczech), tworzonow natomiast korpusy kawaleryjskie. Pan W. wie niewątpliwie, że w kampanii francuskiej maj-czerwca 1940 roku koalicja francusko-brytyjska również posiadała przewagę bezwzględną tak w liczbie dywizji, jak i czołgów nad Wehrmachtem. Francuzów w 1940 roku pokonała w pierwej anachroniczna (choć datująca się sprzed lat ledwie dwudziestu) doktryna wojenna, w tym i rozproszkowanie broni pancernej, demoralizacja armii francuskiej była zaś w wielkiej mierze skutkiem szoku podobnego temu, jakiego doświadczyli współcześnie Irakijczycy w zderzeniu z technologią i doktryną wojenną aliantów. Józef Stalin ponoć wyciągnął wnioski z błyskawicznej klęski Francji. Nie na tyle jednak, by nie powtórzyć w rok później wszystkich jej błędów, dołączając cały wianuszek własnych. Masy czołgów sowieckich dlatego tylko nie było widać na szczeblu armii czy korpusu pancernego, że walczyły w batalionach, pułkach, co najwyżej brygadach. I zostały zniszczone w kotłach (białostockim, kijowskim itd.) przez działania wojsk pancernych Guderiana. Panu W. polecam lekturę pamiętników Nicolausa von Belov, adiutanta Hitlera, a więc osoby chyba nieuprzedzonej). Tyle o czołgach, koronnym argumencie pana W.

2. 22. VI. 1941 roku Józef Stalin próbował tupetem nadrabiać wobec współpracowników krach dotychczasowej polityki, uchylając się z jednej strony do wszelkiej odpowiedzialności, zakazując najpierw odpowiadania ogniem na „prowokacje" graniczne, następnie zaś wydając przesławny wieczorny rozkaz o natarciu na całym froncie. Narobiwszy zamętu, wyzwawszy stalinowców z Politbiura od zdrajców i tchórzy, zaszył się w swej daczy-twierdzy w Kuncewie. Przez najbliższe dwa tygodnie władza w ZSRR spoczęła w rękach Ławrentija Berii, Grigorija Malenkowa i Georgija Żukowa. (patrz Awtorchanow „Zagadka śmierci Stalina", Rosiński, „Demon t. 2") Oni to właśnie, nie zaś Stalin wydawali rozkazy od 22.06. wieczorem, w tym i rozkaz o ewakuacji.

Pan W., nie umiejscawia zdaje się geograficznie Magnitogorska, o którym dowiedzieć się musiał jeśli nie z racji studiów politechnicznych, to na pewno jeszcze w szkole podstawowej z wiersza Władysława Broniewskiego. Dotyczy to tak samo Czelabińska, Świerdłowska itd. A wystarczyłoby sięgnąć choćby do pamiętników Józefa Czapskiego „Na nieludzkiej ziemi", by znaleźć opisy przemysłu zbrojeniowego zbudowanego niewolniczą pracą więźniów Gułagu jeszcze w latach trzydziestych właśnie na Uralu i za Uralem. Argument o braku wody, siły i światła jest tak ignoracki, że aż śmieszny. Polecam pamiętniki szefa niemieckiej machiny zbrojeniowej Alberta Speera (s. 351 W-wa 1990), który wspomina o swych wielokrotnie bezskutecznie ponawianych wobec Aldolfa Hitlera prośbach o zbombardowanie przez Lutwaffe siłowni na Uralu i w rejonie Górnej Wołgi). Bez komentarza. Na wzniesienie hal fabrycznych była cała druga połowa 1941 i pierwsza połowa roku następnego. I fakt – dopiero w drugim półroczu 1942 produkcja zbrojeniowa ZSRR ruszyła pełną parą (cyfry w mojej książce). A odnotowane są przypadki, gdy produkcję przemysłową prowadzono w nie wykończonych jeszcze halach, co znając stosunki sowieckie, chyba pana W. nie dziwi.

Aleksandra Solzenicyna i Józefa Czapskiego, by dalej nie szukać, trudno raczej posądzać o sympatie prosowieckie. Obaj piszą, jak straszliwym ciosem dla reżimu były pierwsze miesiące wojny, jak dalece pękła bariera strachu jego mieszkańców. W październiku 1941 r. na wieść o przełamaniu frontu pod Wiazmą w Moskwie doszło do zamieszek i rabunków. NKWD paliło nerwowo dokumenty na Łubiance, partyjni zjadali legitymacje, instytucje ewakuowano. Uciekł nawet Józef Stalin by powrócić dopiero w jakiś czas później. Masowe poddawanie się żołnierzy z bronią w ręku i oczekiwanie znacznej części ludności, nie mówiąc o kilkunastu milionach więźniów Gułagu na przyjście Niemców (patrz Józef Czapski, Gustaw Herling, Aleksander Sołżenicyn), to zdaje się również elementy makiawelicznego planu Józefa Stalina.

Pan W. zdaje się wreszcie zapominać, że do 22 czerwca 1941 roku naziści, w tym SS i Wehrmacht popełnili wprawdzie wiele okrucieństw i zbrodni wojennych, ich ofiarą padły jednakże TYSIĄCE a nie MILIONY ludzi. O idących w setki tysięcy rozstrzeliwaniach, czy komorach gazowych NIKT NA ŚWIECIE WŁĄCZNIE ZE STALINEM Do tej pory NIE SŁYSZAŁ z prostej przyczyny – JESZCZE NIE ISTNIAŁY! Nie mógł więc Józef Stalin w proroczej wizji antycypować ich istnienia i włączyć do realizacji apokaliptycznych planów zaprezentowanych przez Pana W. Chyba że i co do tego dogadał się z Adolfem Hitlerem...

Józef Stalin był ludobójcą wszechczasów. Jego ofiarami są dziesiątki milionów ludzi. W ocenie historycznej pana W. staje się postacią mityczno-groteskową, Waligórą-Wyrwidębem.

Są wprawdzie tacy, którzy twierdzą, że za karierą i ludobójczą działalnością Adolfa Hitlera kryje się czarna ręka międzynarodowego żydowskiego spisku syjonistów, którzy pragnęli zagłady bądź wygnania Żydów europejskich, by utworzyć państwo Izrael. Nieodpartym argumentem jest, że babka Reinharda Heydricha była Żydówką, a i sam Adolf, kto wie... Opis działalności Józefa Stalina pióra pana W. klasyfikuje się do tej kategorii rozważań. Zdrowemu rozsądkowi czytelnika pozostawiam – brednia to, majak, czy mistyfikacja...

Andrzej Rosiński

Andrzej Rosiński, historyk, publicysta ekonomiczny „Po prostu", autor książki „Stalin – demon zbrodni i zła" oraz „KGB kontra Demianiuk".

Powstanie Warszawskie: nikt nie chciał przyjść z pomocą

Umierali, tęsknie patrząc w niebo

Edward Raczyński urodził się w 1901 roku. Jest prawnikiem z wykształcenia. Studiował w Lipsku i Londynie. W 1918 roku wstąpił do wojska. Szybko jednak przeszedł do służby dyplomatycznej. Pracował i zdobywał dyplomatyczne doświadczenie w Kopenhadze, Londynie i MSZ. W 1932 roku został delegatem Polski Lidze Narodów, a w dwa lata później ambasadorem Rzeczypospolitej w Londynie.

W tym czasie obowiązki prezydenta RP – na mocy Konstytucji z 1935 roku – Władysław Raczyński. Przekazał mu je ustępujący prezydent Ignacy Mościcki. Władysław Raczyński był prezydentem do 1947 roku, do swojej śmierci.

Edward Raczyński spisał swoje wspomnienia, które opatrzył licznymi dokumentami. Wspomnienia te zatytułował „W sojuszniczym Londynie". Wśród dokumentów znajduje się raport: „Powstanie przeciwko Niemcom w Warszawie. Przebieg interwencji o pomoc brytyjską i amerykańską".

Daleka droga do Anglii

27 lipca 1944 roku ambasador RP w Londynie Edward Raczyński odwiedził brytyjskiego ministra spraw zagranicznych Anthony Edena i przedyskutował z nim ewentualną pomoc Wielkiej Brytanii dla powstania w Warszawie, gdyby takie wybuchło. A wszystko wskazywało, że tak się stanie. 26 lipca 1944 roku w Londynie znana była już treść depeszy nr 441/XXX/999, którą 25 lipca wysłał gen. Tadeusz Bór Komorowski. W depeszy tej pisał: *„Jesteśmy gotowi w każdej chwili do walki o Warszawę. Przybycie do tej walki Brygady Spadochronowej będzie miało olbrzymie znaczenie polityczne i taktyczne. Przygotujcie możliwość bombardowania na nasze żądanie lotnisk pod Warszawą. (...)"*.

Następnego dnia ambasador Edward Raczyński otrzymał list od wysokiego urzędnika brytyjskiego MSZ – O.S. Sargenta. We wstępnie autor listu przypominał problemy, z jakimi wystąpił do ministra Anthony Edena polski ambasador: 1. prośba o interwencję u rządu ZSRR, aby nie prześladowano żołnierzy AK, którzy w ramach planu „Burza" wspomagali oddziały Armii Czerwonej w walce z Niemcami na Wołyniu czy na Litwie; 2. wysłanie na pomoc Warszawie polskiej 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej, która stacjonowała w Anglii; 3. bombardowania lotnisk niemieckich wokół Warszawy; 4. wysłanie na polskie lotniska Mustangów i Spitfire'rów.

„Obawiam się – pisał O. S. Sargent – *że niezależnie od trudności skoordynowania takiej akcji z rządem sowieckim, którego siły zbrojne działają przeciw Niemcom na terytorium Polski, względy operacyjne uniemożliwiają nam wypełnienie trzech postulatów wysuniętych przez Pana w celu pomżenia powstaniu w Warszawie. Nie można przenieść powietrzem ponad Niemcami brygady spadochronowej aż do Warszawy bez ryzyka olbrzymich strat. Również przerzucenie dywizjonów myśliwskich na lotniska w Polsce byłoby długą i skomplikowaną operacją, którą, zresztą w każdym wypadku, można by przeprowadzić tylko w porozumieniu z rządem sowieckim. Na pewno nie dałoby się tego przeprowadzić w takim czasie, by zaważyło to na obecnej walce. W odniesieniu do bombardowania warszawskich lotnisk, Warszawa znajduje się poza normalnym zasięgiem bombowców RAF, a bombardowanie lotnisk w każdym wypadku znacznie bardziej właściwe z baz kontrolowanych przez Sowiety"*.

Brytyjski sojusznik wymógł na premierze rządu RP na emigracji – Stanisławie Mikołajczyku, podróż do Moskwy, gdzie miał się porozumieć nie tylko z rządem ZSRR, ale i przedstawicielami PKWN. Stanisław Mikołajczyk ruszając w podróż przekazał do Warszawy depeszę: *„Na posiedzeniu Rządu RP zgodnie zapadła uchwała upoważniająca Was do ogłoszenia powstania w momencie przez Was wybranym"*. Naczelny Wódz – gen. Kazimierz Sosnkowski przebywał w tym czasie wśród żołnierzy 2 korpusu we Włoszech. Kapitan Witold Babiński, przesyłając meldunek 29 lipca 1944 roku do Włoch, radził: *„Lepiej, aby Pan Generał odczekał wyniku podróży Premiera wśród wojska, niż w Londynie"*. I dalej pisał: *„W londyńskim środowisku politycznym chwilowa bezradność"*. Gen. Kazimierz Sosnkowski był za rekonstrukcją rządu, do którego weszliby też przedstawiciele Stronnictwa Narodowego i piłsudczyków. Brytyjczycy orzekli jednoznacznie, że popierają *„rząd Mikołajczyka"*. *„Sprawa rekonstrukcji rządu ostatecznie upadła"* – pisał kpt. Witold Babiński.

Gen. Kazimierz Sosnkowski był przeciwny powstaniu. W depeszy nr 1280/VV/999 wysłanej 29 lipca 1944 roku z frontu włoskiego do gen. Tadeusza Bora Komorowskiego pisał: *„Wasza ocena sytuacji niemieckiej musi być bardzo trzeźwa i realna. Omyłka pod tym względem kosztowałaby bardzo wiele. Trzeba jednocześnie skupić wszystkie siły polityczne, moralne i fizyczne dla obrony przeciwko aneksyjnym planom Moskwy. Wiadomość o podróży moskiewskiej w sytuacji wytworzonej przez sowieckie fakty boleśnie wstrząsnęła dusze żołnierzy 2 Korpusu. Ja planu i celu tej podróży nie znam i nie rozumiem. Bez znajomości jej wyników nie widzę żadnej możliwości nawet rozważania sprawy powstania"*. Depesza dotarła do Warszawy 2 sierpnia 1944 roku. Odczytano ją (była szyfrowana) 3 sierpnia, a gen. Tadeusz Bór Komorowski otrzymał ją dopiero 6 sierpnia. Powstanie trwało już 6 dni.

Dlaczego 1 Samodzielna Brygada Spadochroniarzy nie mogła wylądować w Warszawie

Gen. Kazimierz Sosnkowski był też przeciwny użyciu 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej w Warszawie. W depeszy (też szyfrowanej) nr 1284/VV/999 z 30 lipca 1944 roku adresowanej do szefa Sztabu Generalnego gen. Stanisława Kopańskiego przypominał, że jest przeciwny powstaniu i dalej pisał: *„Co do użycia Brygady Spadochronowej przypominam, iż została oddana do dyspozycji przyjaciół na podstawie opinii Kraju"*. Przypominał też, że wsparcie powstania z Anglii leży w kompetencjach Brytyjczyków, że trzeba brać pod uwagę odległość i że *„sytuacja polityczna nie upoważnia do brania pod rozwagę baz sowieckich"*. Depeszę tę kończył słowami: *„Myślę, że Pan Generał nie omieszka wyjaśnić Lawinie stanu rzeczy w obu tych sprawach"*. Lawina – był to kryptonim dowódcy AK w Polsce – gen. Tadeusza Bora Komorowskiego. Depeszę tę otrzymano i odczytano 2 sierpnia 1944. W drugim dniu walki w Warszawie.

Jeśli natomiast chodzi o 1 SBS, to gen. Tadeusz Bór Komorowski 29 marca 1944 roku wyraził zgodę na użycie jej w inwazji wówczas przygotowanej. Zastrzegł się też, *„by decyzja o użyciu Brygady w inwazji nie odsunęła na bok sprawy przygotowania dla niej możliwości przerzucenia jej do Kraju"*. Ale brytyjski Sztab Imperialny i dowódca alianckich sił zbrojnych w Europie – gen. Dwight Eisenhower sprawy wojny widzieli w innej skali i inne widzieli zadania dla polskiej 1 SBS. Jak wiadomo 1 SBS wzięła udział w walkach o opanowanie mostów w Holandii we wrześniu 1944 roku. Była to operacja „Market-Garden", która wedle koncepcji marszałka Bernarda L. Montgomery'ego miała przyspieszyć koniec wojny poprzez przeniesienie jej na terytorium Niemiec. Alianci ponieśli jednak klęskę pod Arnhem.

Józef Garliński w książce „Politycy i Żołnierze" utrzymuje, że na wiosnę 1944 roku 1 SBS liczyła *„mniej więcej 1 500 oficerów i szeregowych"* i – co jest znacznie ważniejsze – *„uzbrojenie tej wyborowej jednostki było dalekie od stanu wystarczającej gotowości"*. Przypomina też, że Polska została wyłączona z alianckich planów strategicznych, co oznacza, że w tym rejonie Europy nie przewidywano żadnego desantu zachodnich aliantów. *„Walki w Warszawie wybuchły w 8 miesięcy po konferencji w Teheranie, której wyniki znane już były Polakom"* – pisze. A oznaczało to, że przekreślone zostały *„w sposób bezapelacyjny sojusznicze zobowiązania brytyjskie"*. Brytyjczycy wielekroć podczas polskich interwencji w Londynie w sprawie pomocy walczącej Warszawie przypominali, że jest to teren operacji wojsk ZSRR i z Moskwą trzeba pertraktować o pomoc. W tej sytuacji mogli zupełnie spokojnie posługiwać się argumentami trudności technicznych w realizacji brytyjskiej pomocy dla Warszawy. A trudności te nie były wymysłem.

W nocy z 5 na 6 czerwca 1944 roku podczas inwazji sprzymierzonych w Normandii użyto spadochroniarzy 101 Dywizji Spadochronowej USA. Skoczyło 6 000 żołnierzy i oficerów. Straty wyniosły 66 procent. Niektórzy spadochroniarze wylądowali o 20 km od celu. Odległość z miejsca startu do celu wynosiła od 150 do 200 km. Lot trwał zaledwie kilka minut.

Pod Arnhem we wrześniu 1944 roku skoczyło z samolotów 1 508 spadochroniarzy 1 SBS, 78 wylądowało w szybowcach wraz z ciężkim sprzętem. Brygada była tak szkolona, że aby mogła skutecznie walczyć z przeciwnikiem, musiała dysponować regularnymi dostawami amunicji, opatrunków, żywności, części zamiennych do sprzętu i tak dalej. Musiała też istnieć gwarancja, że nad cel zostanie dostarczona w bezpieczny sposób.

Z baz brytyjskich do Warszawy najkrótszą drogą było około 1 500 km. Dla przetransportowania 1 SBS na tę odległość trzeba było posiadać i móc wykorzystać 265 specjalnie przystosowanych do takiego lotu samolotów. Brytyjczycy mieli duże kłopoty z lotnictwem transportowym. Armada powietrzna transportująca 1 SBS rozciągnęłaby się na przestrzeni 45 km. Trudno uwierzyć, że Niemcy nie dostrzegliby jej i nie chcieli zniszczyć.

„Gen. „Bór" przewidywał – pisze Józef Garliński – *że w wypadku możliwości przerzucenia brygady, zrzutu należałoby dokonać na Wolę.*

Ilu skoczków, którzy dolecieliby do Warszawy, wylądowałoby w tej dzielnicy, ilu wyszłoby cało z nocnego skoku na dachy, mury, kamienie i betony, ilu trafiłoby na polskie, a nie na niemieckie dzielnice miasta".

Zdaniem Józefa Garlińskiego *„wołanie o przerzut brygady spadochronowej, wołanie o polskie dywizjony lotnicze miało charakter symboliczny"*. Uważa, że wiedziano, iż *„brygada spadochronowa polecieć do Polski nie może"* i dlatego zgodzono się na użycie jej w drugiej fazie inwazji we Francji. *„Musiano także rozumieć, że posłanie czterech dywizjonów lotniczych nad Warszawę* – pisze Józef Garliński – *bez zapewnienia im ziemnej obsługi, zapasów paliwa, zamiennych części, bomb i amunicji, nie mówiąc już o wcześniejszym zdobyciu przez AK odpowiednich lotnisk, byłoby tylko zmarnowanie tych pięknych jednostek"*. W Warszawie musiano o tym wiedzieć.

Pozostały tylko zrzuty

Już 2 sierpnia 1944 roku gen. Tadeusz Bór Komorowski depeszował do Londynu – depesza nr 519/XXX/111. Odczytano ją 3 sierpnia: *„Katastrofalny brak amunicji do kb, km, pm i pilna broń ppanc."*. Jednak pierwszy zrzut broni dla walczącej Warszawy nastąpił dopiero 4 sierpnia 1944 roku. Wystartowało 14 samolotów, do Warszawy dotarło 3. W sumie – między 4 sierpnia a 21 września 1944 roku dokonano 149 zrzutów. Przez „zrzut" należy rozumieć całą zawartość samolotu, było to przeważnie po 12 zasobników. 107 zrzutów dokonali Amerykanie. Powstańcy odebrali z tych 149 zrzutów tylko 44. W nocnych lotach na Warszwę z brytyjskiej bazy w Brandisi nie powróciło 39 maszyn. Z amerykańskich B – 17, których wystartowało 110, trzy maszyny zawróciły z drogi, dwie zostały strącone. Straty były duże, a mimo to lotnicy byli gotowi latać nad Warszawę, aby walczącym nieść pomoc. Politycy natomiast nieustannie piętrzyli trudności.

Edward Raczyński pisze w swoim raporcie: *„Nawiązując do depeszy premiera Mikołajczyka do premiera Churchilla z dnia 16 sierpnia, minister Eden przypomniał, że zrzuty na samą Warszawę są szczególnie ryzykowną operacją, lecz że istnieją możliwości uzyskania wyników mniejszch w drodze zrzutu dookoła Warszawy"*. Istotnie dokonano 43 zrzuty na Las Kabacki i Kampinos, z których odebrano 27, ale – jak pisze Józef Garliński – *„nie miały one poważniejszego znaczenia dla Warszawy"*.

W dniu rozpoczęcia walk w Warszawie premier Stanisław Mikołajczyk przebywał w Moskwie. Gdy poinformował przedstawicieli PKWN o wybuchu powstania, nie uwierzyli. Wanda Wasilewska próbowała dowiedzieć się czegoś telefonicznie u Wiaczesława Mołotowa i złożyła wizytę Józefowi Stalinowi. Ten powiedział jej: – *My nie mamy żadnych takich wiadomości, a musielibyśmy przecież mieć.* – Jest to wręcz nieprawdopodobne, aby Rosjanie nie wiedzieli. Ich wywiad penetrował przecież różne organizacje Polski podziemnej, w tym AK. Skoro Niemcy wiedzieli o przygotowaniach do powstania, jedynie sam moment ataku był dla nich zaskoczeniem, to trudno wprost uwierzyć, aby tego nie wiedział wywiad radziecki.

Stanisław Mikołajczyk wyjeżdżający z Moskwy otrzymał przyrzeczenie Józefa Stalina, że Rosjanie wspomogą walczącą Warszawę. 17 sierpnia 1944 roku otrzymał depeszę Józefa Stalina, w której – jak wspomina Edward Raczyński – stwierdzono, że *„zostały wydane zarządzenia, by sowieckie dowództwo zrzucało intensywnie broń w rejonie Warszawy"*, co nie było prawdą. Kiedy w końcu 8 Armia Powietrzna USA zdecydowała wyruszyć nad Warszawę w składzie 110 samolotów B – 17 i lądować w swojej bazie pod Połtawą, Rosjanie na ten rajd nie wyrazili zgody.

W Wielkiej Brytanii panowała cisza w prasie i radiu wokół powstania w Warszawie. 5 sierpnia 1944 roku ambasador Polski Edward Raczyński zwrócił na ten fakt uwagę podsekretarzowi w MSZ sir Orme Sargentowi. 7 sierpnia 1944 roku ambasador brytyjski sir Owen O'Malley został przyjęty przez prezydenta RP Władysława Raczkiewicza. Ambasador brytyjski poinformował prezydenta, że premier Winston Churchill przesłał depeszę do marszałka Józefa Stalina, w której domaga się działań odciążających Warszawę na froncie podwarszawskim oraz zakomunikował, że minister Anthony Eden *„poczynił kroki celem wzmożenia zainteresowania prasy brytyjskiej i radia powstaniem w Warszawie"*. Brytyjczykom to powstanie bardzo było na rękę. Kiedy jednak wynikła radziecka opozycja wobec lądowania amerykańskiej floty pod Połtawą, prasa sprawie nadała rozgłos, choć nie było oporu niektórych polityków.

29 sierpnia 1944 roku minister Anthony Eden zaprosił do siebie Stanisława Mikołajczyka, Edwarda Raczyńskiego i sir Owena O'Malley'a *„Rozmowa* – pisze Edward Raczyński – *zeszła następnie na artykuł Vernona Bartletta (ukazał się w „News Chronicle" z dnia 29 VIII.), który po raz pierwszy donosił o odmowie rządu sowieckiego udzielenia baz lotniczych sowieckich dla ekspedycji amerykańskiej mającej pośpieszyć z pomocą Warszawie. Pojawienie się tej wiadomości Eden ocenił krytycznie jako grożące dalszym zadrażnieniom stosunków polsko-sowieckich. Próbował on wpłynąć na Vernona Bartletta, aby go skłonić do wycofania rewelacji – jednak bezskutecznie"*.

Zgoda rządu ZSRR na lądowanie amerykańskiej armady pod Połtawą przyszła 12 września. Wywołało to duży entuzjazm powstańców, ale losów powstania zmienić nie mogło. W nocy z 13 na 14 września 1944 roku zrzuty rozpoczęło lotnictwo radzieckie. „Kukuryżniki" latały nisko i zrzucały worki z zaopatrzeniem. Zrzucono 55 ton zaopatrzenia i 15 ton żywności. Worki nie miały spadochronów i część zrzutów uległa zniszczeniu. Ta pomoc również nie mogła zmienić losów powstania. Przedłużyła jedynie agonię.

Warszawiacy walczyli dzielnie, bohatersko stawiając opór przeważającym siłom przeciwnika, tęsknie patrzyli w niebo, skąd miał nadejść ratunek. Ale niebo częściej było puste lub latały po nim niemieckie samoloty i pociski.

Benedykt Pazik

Z dalekiej przeszłości

Kresy Wschodnie

Kojarzy się nam ta nazwa z ziemiami za Bugiem, wchodzącymi w skład Drugiej Rzeczypospolitej, a przepadłymi po 17 września 1939 roku. Kresy Wschodnie – obszar stukilkudziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych z dwoma wielkimi ośrodkami kultury narodowej – Lwowem i Wilnem.

Niecałe to kresy. Obejmowało państwo polskie przed 1772 rokiem 780 000 km kwadratowych, a odradzające się uzyskało – i to z wielkimi oporami Zachodu – zaledwie niewielką część dawnego stanu posiadania. Za granicami Rzeczypospolitej Polskiej pozostały obszary związane przez wieki z bytem narodu i losami państwa.

„Za rubieżą pozostało Podole, Ukraina, większa część Wołynia – pisał w swej książce o tamtych ziemiach i tamtych czasach Antoni Urbański. – *Szmat to ziemi ogromny. Od Zbrucza po porohy Dnieprowe, od Dzikich Pól po Litewskie Kraje...*

To była nasza macierz. Krwią polską broczona, kulturą polską żywiona, pracą polską zasilana. Była dla Korony pawężą, stawiła czoła najezdnikom, osłaniała od napaści. Trwał na niej Polak długo i w pracy nie ustawał.

Tego wszystkiego już nie ma. Przepadło stracone bezpowrotnie... Ludzie co odeszli, widzieli śmierć rodzinnego domu... W domach były pamiątki. Przepadły książki zbierane przez kilkanaście pokoleń... Zniszczone zostały białe kruki, rękopisy, przywileje, pergaminy, nadania, akta grodzkie i ziemskie, akta kancelarskie, fascykuły. W niwecz obrócone zostały archiwa rodzinne. Archiwa Ostrogskich, Zasławskich, Sanguszków, Tyzenhauzów, Potockich, Orańskich i tyle innych. W niwecz pamiątki bojów o wolność i prawo. Sztandary, zbroje, broń, rynsztunki... Miejsca ze wspomnieniami dziejowemi obrócono w perzynę...

Toć potykanie tam nasze i kultura kilku wieków zapadły się w nicość. Toć ci, co na tułaczkę poszli zostawili tam swe serca. Owe wspomnienia, by się zupełnie nie zatarły przedstawić należy i ku pamięci utrwalić".

Leży przede mną plik pożółkłych kart pocztowych, początek naszego stulecia dokumentujących. Prezentują piękno Podola i Ziemi Wołyńskiej, niepowtarzalny obraz kresowych stanic i ludzi kresów. Jawi się Kamieniec Podolski, Bracław, Niemirów, Tulczyn i wiele innych – bastionów polskości na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej.

Wieźli te karty wraz z innymi dokumentami 73 lata temu rodzice moi, wracając z ogarniętej pożarem rewolucji Rosji do kraju. Wieźli, ryzykując ze świadomością, iż w każdej chwili mogą utracić wszystko na swym tułaczym szlaku. Ale wieźli też coś, czego nikt im odebrać nie był w stanie. Obraz tamtych ziem wiernych i tęskniących i obraz tamtych ludzi wrośniętych w ziemię, której przez wieki całe bronili.

Kościół w Bracławiu

Do cytowanego tu profesora Antoniego Urbańskiego w 1929 roku pisał Józef Weyssenhoff: *„W tytanicznej epoce, która nas ogarnia, dzieją się oprócz przewrotów ohydnych i cuda dobroczynne. Może Bóg sprawiedliwy dopuści do powrotu wygnańców na ziemie rodzinne i do częściowej odbudowy siedzib, które jednak nie wszystkie doszczętnie przepadły"*.

Na cud nie licząc, tym bardziej czas przeszły uchronić należy przed zapomnieniem.

Zenon J. Michalski

Pierwsza wpłata 20%
pozostałość 12 rat

NA RATY!!!

SERTAL

- Telewizory, videa, odtwarzacze, „Sony", „Panasonic", „Philips", „Samsung", „Funai", „Sharp"
- Anteny satelitarne
- Pralki, lodówki, zamrażarki, także duńskie dwukomorowe
- Sprzęt gospodarstwa domowego
- Oświetlenie
- Elektronarzędzia, pompy wodne, hydrofory, zachodnie sprężarki i spawarki (Minimagi)

PO ATRAKCYJNYCH CENACH W HURCIE I DETALU
w firmie „SERTAL"
Pawilon Łódź, ul. Franciszkańska 99 ☎ 57-60-47

MIKROKOMPUTERY PC
386 TANIEJ!
Przykładowe ceny w mln zł

286/12 MHz – 7,3	386/25/64 CACHE – 13,4	STAWIAMY
286/16 MHz – 7,8	486/25/128 CACHE – 20,8	NA
386/25 MHz – 11,8	486/33/128 CACHE – 22,5	JAKOŚĆ

Wszystkie zestawy zawierają: FD 1.2 MB, HD 44 MB, hercules, monitor 14" mono, I/O, klawiatura 101, obudowa, zasilacz 200 W. Prowadzimy konserwację i naprawy sprzętu komputerowego. RODEX Sp. z o.o., tel. bezp. 52-40-68 lub 52-51-90 w. 190, 193, Łódź, ul. Szparagowa 6/8, fax 52-10-07.

UWAGA KIEROWNICY I WŁAŚCICIELE SKLEPÓW Z ARTYKUŁAMI ELEKTRYCZNYMI

W naszym magazynie posiadamy:

- ✶ żarówki E-27, samochodowe, świecówki
- ✶ świetlówki, lampy sodowe, rtęciowe
- ✶ druty nawojowe, przewody instalacyjne, teletechniczne, antenowe, samochodowe
- ✶ osprzęt siłowy i sterowniczy, wyłączniki aparaturowe
- ✶ tablice licznikowe, rozdzielcze i osprzęt
- ✶ oprawy mieszkaniowe, żyrandole, kinkiety, lampki biurkowe
- ✶ oprawy świetlówkowe, sodowe, rtęciowe, przemysłowe
- ✶ stateczniki, zapłonniki

Nasza zasada to niska stopa zysku a wysoki obrót.

Zapraszamy do nas:

Hurtownia Artykułów Elektrycznych
JUST-AMICO
Łódź, ul. Duńska 1, tel. 52-12-02

„DAMIS"

bezpośredni importer – poleca:
ARTYKUŁY I ZABAWKI DO ROBIENIA ŻARTÓW, m.in.

- znikające atramenty
- sztuczne kupy
- brudzące mydła
- tańczące puszki
- I OKOŁO 150 INNYCH ATRAKCYJNYCH ZABAWEK TEGO TYPU

Łódź, tel. 56-01-88

BIURO USŁUG TURYSTYCZNYCH **JANOSIK**

90-361 Łódź, ul. Piotrkowska 270, XIV piętro, pok. 1404
tel. 84-70-24, 81-02-11 w. 474, 196, fax 81-59-27

PROPONUJE

- WŁOCHY: 11 dni. objazdowa autokarowa, cena 1,4 mln zł + 145 USD (wyżywienie własne)
- HISZPANIA: Callela de la Costa k. Barcelony, 19 dni, pełne świadczenia, ceny: 5,9 – 8,25 mln zł
- USA – KANADA: 10, 14, 18 dni, sierpień-październik, ceny w USD
- EUROPA ZACHODNIA: imprezy indywidualne (wyjazdy na zamówienie), ceny 0,6 – 2,0 mln zł
- OBOZY WSPINACZKOWE: w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej i w Czechosłowacji dla osób powyżej 16 roku życia, 15 dni, cena: 0,9 mln zł
- ZAKOPANE: terminy dowolne! ceny: 65 tys. zł za dobę od osoby

OD WRZEŚNIA

- JAPONIA: 13 dni, cena: 6,5 mln zł + 250 USD
- CHINY – PEKIN: 10 dni, 6,5 mln zł + 240 USD
- INDIE: 13 dni (8 dni w Delhi), cena: 6,5 mln zł + 170 USD
- SEUL: w przygotowaniu! cena ok. 9 mln zł

PRZEJAZDY DO PARYŻA w każdy piątek, ceny: w 1 stronę – 690 tys. zł, w 2 strony – 990 tys. zł

ZAPRASZAMY

HURTOWNIA EXPORT-IMPORT

RITEX®

Łódź
ul. Rzgowska 2a

tel. 84-52-26,
81-50-93

POLECA:

1. *Odzież (bluzki, swetry, skarpety)*
2. *Zabawki*
3. *Wózki z pozytywkami – 2 rodzaje*
4. *Papier ozdobny (folia)*
5. *Biżuterię*
6. *Dzianiny krajowe*
7. *Inne wyroby z:*
   Korei, Chin, Turcji, RFN, Szwecji

Zapraszamy w godz. 8.00-18.00

Życzymy
udanych zakupów

WYJAZDY DO ANGLII

i z powrotem

● TANIO ● WYGODNIE

MINIBUS z domu do domu

Tel. Łódź 15-46-15

SOBIERADEK

94-042 Łódź, ul. Florecistów 1 (Retkinia), tel.: 86-42-54

- glazura i terakota mrozoodporne (import Włochy, Szwajcaria)
- boazerie i listwy
- okucia meblowe i budowlane
- płyty laminowane, wiórowe i pilśniowe
- meble kuchenne i ogrodowe
- farby, lakiery i tapety
- narzędzia i elektronarzędzia
- maszyny do obróbki drewna
- sprzęt instalacyjno-sanitarny
- usługi cięcia płyt

Godziny otwarcia: poniedziałek – piątek 10.00-18.00

TELEGAZETA

W TWOIM TELEWIZORZE
MONTAŻ DEKODERÓW TELEGAZETY

w odbiornikach TV produkcji polskiej i zachodniej, m.in.:
SONY, SANYO, PANASONIC, SAMSUNG, ROYAL, ULTRAVOX, TOSHIBA i wielu innych

Proponujemy również adaptację zachodnich telegazet
do odbioru znaków polskiego alfabetu

J.W. ELECTRONICS
Łódź, ul. Serenady 5a **tel. 48-80-15**

SOBOTA

17 sierpnia
PROGRAM I

7.55 Program dnia
8.00 W sobotę rano – magazyn informacyjno-gospodarczy
8.35 Ziarno – program redakcji katolickiej
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Kino teleferii – Walt Disney przedstawia
10.25 Na zdrowie – magazyn rekreacyjny
10.45 Wojskowy program publicystyczny
11.10 Zielona linia
11.35 Z Polski rodem – magazyn polonijny
12.05 Wędrówki dalekie i bliskie
12.45 Magazyn mniejszości narodowych
13.15 Studio Sport
14.45 Siódemka w Jedynce
15.15 Film dokumentalny
15.45 Program publicystyczny
16.30 Program redakcji katolickiej
16.45 Magazyn polskiej muzyki rockowej
17.15 Teleexpress
17.35 Film dokumentalny
18.30 Tele-audio-video
18.55 Z kamerę wśród zwierząt
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 Szlak północno-zachodni – western produkcji USA (1940 r.) reż. Kinf Vidor, wyk.: Spencer Tracy, Robert Young, Walter Brennan i inni
22.20 Wiadomości wieczorne
22.40 Sportowa sobota
23.00 Wielki koncert Phila Collinsa
24.00 Macgyver (3), Slamanie (47 min.) – serial produkcji USA

PROGRAM II

11.05 Tacy sami
11.25 Dookoła świata
11.55 Video junior
12.25 Recital Martyny Jakubowicz
13.00 Zwierzęta świata
13.35 Sopot'90
13.55 Polacy w XII Konkursie Chopinowskim
14.25 Ze wszystkich stron
14.55 Program dnia
15.00 Ballada o drodze
15.30 Serial produkcji angielskiej
16.20 Reportaż
16.40 Program poetycko-muzyczny
17.00 Studio tajemnic
17.30 Wzrockowa lista przebojów
18.00 Program lokalny
18.30 Film dokumentalny
19.00 Neptun TV przedstawia
19.30 Galeria 38 milionów
20.00 Czarodziejski flet
21.30 Panorama dnia
21.45 Bez znieczulenia
22.00 Akatyst ku czci Bogurodzicy
22.05 Lepiej późno niż wcale

NIEDZIELA

18 sierpnia
PROGRAM I

7.55 Program dnia
8.00 Kraj za miastem – reportaż
8.20 Od niedzieli do niedzieli
9.00 Teleferie: Miasto tygrysów – film fabularny produkcji USA
10.15 Kotek z puszystym ogonkiem – film produkcji ZSRR
10.30 Przygody roślin
11.00 Notowania, czyli co się opłaca rolnikowi
11.25 Ułani wielkopolscy – wojskowy program dokumentalny
11.50 Telewizyjny koncert życzeń
12.20 Circom Regional prezentuje...
12.50 Magazyn Morze
13.10 World Net na antenie Jedynki
14.10 Alfabet komediantów
14.50 Agromarket
15.20 Strażnik rezerwatu – film dokumentalny
15.50 Z archiwum Teatru TV, Alfred de Musset „Nie trzeba się zarzekać"
16.50 Telewizjer
17.15 Teleexpress
17.35 Wokół wielkiej sceny
18.15 Dziennikarze wolnej Litwy – reportaż
19.00 Wieczorynka: Walt Disney przedstawia – Gumisie
19.30 Wiadomości
20.05 Kim jest ten chłopak (4) – serial produkcji francuskiej
21.05 7 dni – świat
21.35 Sportowa niedziela
22.05 Wiadomości wieczorne
22.25 Rewizja nadzwyczajna – program Dariusza Baliszewskiego

PROGRAM II

8.20 Przegląd tygodnia
8.55 Film dla niesłyszących
9.50 Program dnia
10.00 CNN
10.10 Jutro poniedziałek
10.30 Program lokalny
11.00 Wybrańcy Melpomeny
11.30 Wspólnota w kulturze
12.00 Klasztory polskie (1)
12.30 Express Dimanche
12.45 Gość Dwójki
13.00 PKF
13.10 100 pytań do...
13.50 Przeboje na smyczki
14.10 Przyłbice i kaptury
15.10 Film dokumentalny
16.00 Podróże w czasie i przestrzeni
17.00 Studio Sport
17.30 Bliżej świata
18.30 Recital Marka Grechuty
19.00 Wydarzenie tygodnia
19.30 Galeria Dwójki
20.00 Czarodziejski flet (27)
21.30 Panorama dnia
21.45 Syn Gwiazdy Porannej (2) – film fabularny produkcji USA
23.15 Pies, czyli kot
23.25 Kaczmarski 90 (1)
0.15 CNN

PONIEDZIAŁEK

19 sierpnia
PROGRAM I

16.55 Aktualności telegazety
17.00 Studio lato
17.15 Teleexpress
17.30 Studio lato
18.00 Murphy Brown – serial produkcji USA
18.25 Studio lato
18.55 Fotografia – wybór – Spotkanie papieża z kolegami z gimnazjum i z roczników kapłańskich
19.15 Dobranoc: Nowe przygody Bolka i Lolka
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr telewizji – Spektakl na bis – Antoni Cwojdziński „Freuda teoria snów", reż. Anna Minkiewicz, wyk.: Maria Pakulnis i Krzysztof Wakuliński
21.15 Dziennikarze ujawniają, cz.I
21.35 Standardy jazzowe gra Brad Terry z zespołem Quintessence
22.05 Dziennikarze ujawniają, cz. II
22.25 Wiadomości wieczorne
22.45 Strzelałem w obronie własnej – reportaż
23.10 Murphy Brown – serial
23.35 BBC – World Service

PROGRAM II

16.45 Powitanie
17.00 Czas akademicki
17.30 Cudowne lata (38 – Domek na drzewie – serial produkcji USA
18.00 Program lokalny
18.30 Przegląd kronik filmowych
19.00 Ojczyzna – polszczyzna
19.15 Za kierownicą
19.25 Zapraszamy do Dwójki
19.30 Marimba Ponias – japoński zespół dziecięcy – fragmenty koncertu z Sali Koncertowej Akademii Muzycznej w Warszawie
20.00 Warto mówić – program Andrzeja Samsona (nietolerancja wobec AIDS i strach przed chorobą)
20.30 Powroty – Gęsi – film dokumentalny
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 W Solidarności, cz.1 – film dokumentalny BBC
23.00 Rozmowy o cierpieniu
23.15 CNN

WTOREK

20 sierpnia
PROGRAM I

8.00 Dzień dobry
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie ze smokiem
9.35 Kino teleferii
12.25 Melduję posłusznie, cz. 2 - komedia satyryczna
13.55 Aktualności telegazety
17.00 Studio lato
17.15 Teleexpress
17.30 Studio lato
18.00 Murphy Brown – serial produkcji USA
18.25 Studio lato
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 Ziemia obiecana (3) – serial TP
21.00 Program o małym i dużym biznesie w Polsce
21.30 Telemuzak – magazyn muzyczny
22.10 Program publicystyczny
22.50 Wiadomości wieczorne
23.10 Studio sport
23.40 Murphy Brown – serial produkcji USA (odc. ost. – wersja oryginalna)
0.05 BBC – World Service

PROGRAM II

8.00 CNN
8.10 Język angielski (26)
8.35 Magazyn telewizji śniadaniowej
8.40 W labiryncie – serial TP
9.35 Magazyn telewizji śniadaniowej
10.00 CNN
16.45 Powitanie
17.00 Rio białe i czarne – film dokumentalny
17.30 Cudowne lata (39) – Lekcja śpiewu – serial prod. USA
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna z Jasnej Góry
18.50 Magazyn 102
19.30 Film dokumentalny
20.00 Non stop kolor – magazyn
21.00 Wywiady Ireny Dziedzic
21.20 Magazyn przechodnia
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 W Solidarności, cz. 2 – film dokumentalny BBC
23.00 Stan krytyczny
23.35 CNN

ŚRODA

21 sierpnia
PROGRAM I

9.10 Teleferie
9.35 Kino teleferii
10.00 Przyjemne z pożytecznym
10.25 Dynastia – serial produkcji USA
11.15 Aktualności telegazety
16.45 Program dnia
16.50 Bill Gosby Show (1) – serial produkcji USA (1984)
17.15 Teleexpress
17.30 Studio Sport
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 Dynastia – serial produkcji USA
20.55 Kabaret Starszych Panów
22.15 Studio Sport
22.45 Wiadomości wieczorne
23.05 Bill Gosby Show (1) – serial filmowy produkcji USA (wersja oryginalna)
23.30 BBC – World Service

PROGRAM II

8.00 CNN
8.10 Język angielski (27)
8.40 Magazyn telewizji śniadaniowej
9.00 Transmisja obrad Sejmu
16.45 Powitanie
17.00 Studio Sport
17.30 Cudowne lata (40) – Prywatka – serial prod. USA
18.00 Program lokalny
18.30 M.A.S.H. – serial produkcji USA
19.00 Kadr – teleturniej filmowy
19.30 Muzyka Chopina w Żelazowej Woli – recital
20.00 Cały świat gra komedie – widowisko plenerowe z udziałem aktorów teatru „Logos" z Łodzi
20.40 Wielka mozartiada warszawska – reportaż
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 W Solidarności, cz. 3 – film dokumentalny prod. BBC
23.00 Telewizja nocą
23.45 CNN

CZWARTEK

22 sierpnia
PROGRAM I

8.00 Dzień dobry
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Kino teleferii
10.10 Sto lat
10.20 Giełda pracy, giełda szans
10.40 Osaczony – film fabularny produkcji ZSRR
12.05 Aktualności telegazety
17.00 Studio lato
17.15 Teleexpress
17.30 Studio lato
18.00 Bill Cosby Show – serial produkcji USA
18.25 Studio lato
18.50 Magazyn katolicki
19.00 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 XXVIII Międzynarodowy Festiwal Muzyki – Sopot 91
21.25 Goście Andrzeja Zarębskiego
21.45 XXVIII Międzynarodowy Festiwal Muzyki – Sopot 91
23.05 Wiadomości wieczorne
23.25 Bill Cosby Show – serial
23.50 BBC – World Service

PROGRAM II

7.55 Powitanie
8.00 CNN
8.10 Język angielski (28)
8.40 Teleklinika dr. Anatolija Kaszpirowskiego
9.00 Transmisja obrad Sejmu
16.45 Powitanie
17.00 Teleklinika dr. Anatolija Kaszpirowskiego
17.30 Cudowne lata – serial produkcji USA
18.00 Programy lokalne
18.30 Pod wspólnym dachem (7) – serial prod. francuskiej
18.55 Wierność wobec zmienności – film dokumentalny
20.00 Studio teatralne Dwójki, Stanisław Wyspiański „Sędziowie"
21.30 Panorama dnia
21.45 Sport
21.55 W Solidarności, cz. 4- ost. – film dokumentalny produkcji BBC
23.00 Studio sport
23.30 CNN

PIĄTEK

23 sierpnia
PROGRAM I

8.00 Dzień dobry
9.00 Wiadomości poranne
9.10 Teleferie
9.40 Kino teleferii
10.00 Szkoła dla rodziców
10.25 Janosik (8) – serial TP
11.10 Aktualności telegazety
17.00 Studio lato
17.15 Teleexpress
17.30 Studio lato
18.00 Bill Cosby Show – serial produkcji USA
18.25 Raport
18.45 Reflex
19.00 Express gospodarczy
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.05 XXVIII Międzynarodowy Festiwal Muzyki – Sopot'91
21.25 Studio sport
21.45 XXVIII Międzynarodowy Festiwal Muzyki – Sopot'91
23.05 Wiadomości wieczorne
23.25 Billy Cosby Show – serial produkcji USA
23.50 BBC World Service

PROGRAM II

8.10 Język angielski (29)
8.35 Magazyn telewizji śniadaniowej
9.00 Transmisja obrad Sejmu
16.45 Powitanie
17.00 Studio Sport – M.E. w pływaniu – Ateny'91
18.00 – 21.30 Programy regionalne
21.30 Panorama dnia
21.45 Nie zawsze musi być kawior (7) – serial produkcji niemieckiej
22.45 Sport
22.55 Obrazy, słowa, dźwięki – magazyn pod redakcją Krzysztofa Glondysa
23.40 CNN
23.55 Noc z Anteną 5

Restauracja
„ŚWIETLIK"
Łódź, ul. Wspólna 6 tel. 34-33-21
zaprasza na:
- bankiety
- przyjęcia weselne
- obiady abonamentowe

AUTO SERWIS
MAREDI MB sc.
zaprasza do swoich zakładów i sklepów

Zakład nr 1
Łódź, ul. Strykowska 33/43
tel. 55-56-55
- Naprawy Fiat 126p (autoryzacja)
- Blacharstwo
- Lakiernictwo
- Diagnostyka
- Przeglądy rejestracyjne
- Sprzedaż części zamiennych Fiat 126p

Zakład nr 2
Łódź, ul. Wieniawskiego 70a
tel. 48-73-84
- **PROWADZI SPRZEDAŻ SAMOCHODÓW FSM – Fiat 126p za gotówkę**
- Sprzedaż części zamiennych Fiat 126p
- Myjnia samochodów
- Komis i wypożyczalnia samochodów
- Holowanie

Uwaga! Okazja!
Części Fiat 126 p tylko z nas taniej.
Zapraszamy!

FIRMA „DOMATOR" ZAPRASZA

DO SWOICH SKLEPÓW:

- **Najtańszy sprzęt audio-video, fotograficzny, komputery, CB itp.**

Łódź,
ul. Piotrkowska 102a, tel. 33-70-14
ul. Ćwiklińskiej 22, tel. 48-10-31
ul. Rzgowska 12, tel. 84-23-44

- **Najniższe ceny PFAFF-a**

– hafciarka 1475 CD – 17.500.000 zł
– overlock 3 nitk. – 5.500.000 zł
– overlock 5 nitk. – 8.800.000 zł
– elektronic 6000 – 16.700.000 zł

Łódź, ul. Piotrkowska 102a,
telefon 33-70-14

- **HURT, Biuro Handlowe**
Łódź, ul. Piotrkowska 120,
telefon 32-58-86

● Kampania wyborcza nie weszła jeszcze w swoje szczytowe stadium, na to trzeba jeszcze poczekać. Na przykład Janusz Korwin Mikke zapowiedział, że Unia Polityki Realnej rozpocznie swoją kampanię dopiero od 2 września. Ale toczą się już przedbitewne harce. Znów na łamy prasy wróciła sprawa sprzedaży łódzkiej „Bistony". Pisała o tym „Trybuna" i tygodnik „NIE". Ostro zabrał się za sprzedaż „Bistony" na swojej konferencji prasowej prof. Rafał Krawczyk, który w kampanii prezydenckiej był doradcą Romana Bartoszcze. Obecnie lideruje partii Ruch Nowej Polski. Prof. Rafał Krawczyk prywatyzację prowadzoną przez rząd nazwał „bezwstydną prywatą", stwierdził poza tym, że Leszek Balcerowicz ucieknie „na wygodną posadę do USA". Tymczasem Instytut Nauki i Sztuki w USA, który skupia około 1 400 uczonych, pisarzy, artystów polskiego pochodzenia, któremu honorowo przewodniczy Zbigniew Brzeziński, a który miał wśród swoich członków trzech laureatów Nagrody Nobla, wytypował do Nagrody Nobla za wybitne osiągnięcia w dziedzinie nauk ekonomicznych – Leszka Balcerowicza. Można się spodziewać, że Polacy zamiast z tego się cieszyć, jeszcze ostrzej będą go krytykować.

● Na 25 sierpnia zaplanowano mecz piłki nożnej pomiędzy rządem a Komisją Krajową NSZZ „Solidarność". Przeciwko meczowi zaprotestowała „Solidarność" Małopolski. Jej zdaniem „nastroje społeczne nie sprzyjają igrzyskom. Z nastrojami społecznymi trzeba się liczyć. Teraz trzeba zachować powagę". Widać związkowcy z Małopolski zapomnieli, że już lud rzymski w starożytności domagał się od swoich władców chleba i igrzysk. Jak są kłopoty z chlebem, to łatwiej o igrzyska.

● Sieradzki poseł Edmund Jagiełło w wywiadzie dla „Głosu Porannego" powiedział: – „Startować będę do Senatu, mimo iż go nie lubię. Senat jednak chciałbym poznać, aby móc obiekty-

wnie o nim się wypowiadać". Motyw to zaiste godny uwagi. A nam – naiwnym wyborcom – wydawało się, że do Sejmu czy Senatu kandyduje się dlatego, aby móc służyć swoim wyborcom. Cieszymy się z tego, że Edmund Jagiełło kandyduje z Sieradza. Nie będziemy musieli stawać przed dylematem czy głosować na niego. A co zrobią sieradzanie, to już ich sprawa.

● Janusz Korwin Mikke – lider Unii Polityki Realnej – przyznał publicznie, że miał inne zamiary, ale posłuchał Stefana Kisielewskiego, który w Unii Polityki Realnej cieszy się wielkim autorytetem, i będzie kandydował do Sejmu RP.

● Projektant „Mody Polskiej" Jerzy Antkowiak wypowiedział się o garderobach Pana Prezydenta RP – Lecha Wałęsy. Jego zdaniem „Lech Wałęsa nie jest typem garniturowca i widać, że źle się czuje w sztywnej dwurzędowej marynarce. Wyraźnie brakuje mu luzu, choćby tego, jaki ma Havel czy Bush". Jak więc się powinien ubierać na co dzień, czy na spotkania z robotnikami? – „Widzę go – powiada Jerzy Antkowiak – w kolorowych marynarkach, z podwiniętymi rękawami i modnymi krawatami w kwiaty". Może to i piękna wizja, ale boimy się, że większość Polaków miałaby to Panu Prezydentowi za złe.

● Komunikację w Łodzi mamy fatalną i wszyscy o tym wiedzą. Mamy też Biuro Rozwoju Miasta, które powinno myśleć o jej racjonalizacji. Pomyślano więc i powstał m.in. projekt zlikwidowania w śródmieściu Łodzi przeszło 40 procent tras tramwajowych, a w ich miejsce wprowadzenia autobusów i minibusów. Następnie trzeba będzie wymyślić projekt przewietrzania śródmieścia, gdyż ludzie zaczną dusić się od spalin. Jak już nasi projektanci coś wymyślą, to nie wiadomo, śmiać się czy płakać?

● Prywatyzacja – jak się okazuje – też nie jest dobra na wszystko. Postanowiono sprzedać w prywatne ręce cztery linie autobusowe: „54", „62", „82" i pospieszną „J". Niestety zabrakło chętnych i sprzedano tylko linię „54". Kupiły ją dwie przedsiębiorcze panie: Danuta Rentel i Barbara Plucińska. Obie panie posiadają już linię „W", która łączy Wiśniową Górę ze Zdrowiem. Linia „54" w prywatnej wersji ma ruszyć od 1 września. Bilety na tej linii mają kosztować tysiąc złotych. Co z pozostałymi liniami?

● Ci, którzy odważyli się założyć prywatne linie komunikacyjne, spotykają się z uznaniem pasażerów. Na przykład autobusy do Ozorkowa kursują co 20 minut, a tramwaj MPK co 40 minut, autobus jedzie do Ozorkowa 40 minut, a tramwaj 90 minut, bilet w autobusie kosztuje 4 000 zł, a tramwaju 6 000 zł. Okazuje się, że można. Tylko odważnych brak.

● Bezrobotny ślusarz z Łodzi wygrał w salonie gry „Bingo" pół miliarda zł (500 milionów zł). Był przy tym wszędobylski reporter „Expressu Ilustrowanego". Chwała mu za to. Ale jakoś radość bezrobotnego ślusarza z wygranej stępiła ostrość widzenia reportera, podał on bowiem dokładne personalia szczęśliwca. Brak tylko adresu i numeru telefonu. Naszym zdaniem jest to czyn naganny. Wiele instytucji utajnia zarobki, aby ludzie ludziom nie zaglądali do kieszeni, co jest ulubioną zabawą Polaków: – Skąd on bierze te pieniądze? – a tu naraża się szczęśliwca na prośby o pożyczyki, donosy itp. Wyobrażamy sobie tę kolejkę, która ustawiła się rano przed jego domem. Amatorzy pożyczek i darowizn. Mamy nadzieję, że nie było wśród nich złodziei.

● ZJM komentuje:

Radził Sejm wytrwale długie godziny,
jak by tu rozwiązać problem nikotyny?
Jednak głosowanie było utrudnione,
część posłów poszła popalić na stronę.

B.M.

CZYTELNICY PISZĄ

W rubryce tej zamieszczamy teksty zawierające poglądy lub opinie, które redakcja nie zawsze podziela

Drobne chwile szczęścia

Czytuję „Odgłosy" od kilku lat i mam nadzieję, że będę mógł czytać je jeszcze bardzo długo, choć nie wszystko mi się podoba w Waszym piśmie. Przywiązałem się do „Odgłosów" w schyłkowym okresie rządów „nieboszczki PZPR" (lub jak kto woli „KOMUNY" – chociaż mnie to określenie razi, gdyż ma u nas znaczenie pejoratywne, podczas gdy w wysoko cywilizowanych krajach Europy jest synonimem dobrze zorganizowanej jednostki samorządowej). Właśnie na łamach „Odgłosów" mogłem przeczytać po raz pierwszy w oficjalnym obiegu (istniała jeszcze cenzura) wstrząsające publikacje na temat zbrodni stalinowskich, stosunków polsko-radzieckich i naszej historii współczesnej. Dopiero w jakiś czas po „Odgłosach" zaczęły publikować podobne teksty takie pisma jak „Przegląd Tygodniowy", „Życie Literackie", „Polityka" i kilka innych.

Pamiętam jak wstrząsające wrażenie wywarła na mnie (przeoczona chyba przez cenzurę) humorystyczna z pozoru, lekko napisana opowieść Adama Ochockiego „Raz, dwa wziali" o perypetiach autora w ZSRR podczas drugiej wojny światowej. Ten właśnie tekst skłonił mnie do poszukiwań innych, podobnych publikacji na te tematy. Być może sposób jego ujęcia był najbardziej przekonujący, sprowadzał bowiem trudno wyobrażalną ludzką tragedię do poziomu realistycznych drobiazgów, jakie mogą być udziałem każdego z nas.

Jeden z moich najbliższych był więźniem obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, rzadko o tym mówił, ale jeśli już, to opowiadał nie o wielkim ludobójstwie, astronomicznych liczbach zamordowanych, pobitych i okaleczonych. On mówił o drobnych chwilach szczęścia. Jakie to było szczęście? Mieć coś do zjedzenia, nie dostać kijem w głowę, a tylko przez plecy, znaleźć kawałek szmaty nadającej się na szalik i wreszcie najważniejsze – obudzić się rano żywym.

Ostatnio równie mocno obeszła mnie historia człowieka opisana w artykule sprzed kilku tygodni pt. „Sprawa Burego". Na takich tekstach możemy uczyć się historii, bo nic tak nie pomaga w jej zrozumieniu jak poznanie ludzkich przeżyć towarzyszących wydarzeniom dziejowym.

Mam nieco mieszane uczucia czytając strony Waszego tygodnika poświęconego tematyce historycznej. Rozumiem, że chętnie sięgacie do lat dwudziestych i trzydziestych naszego wieku, bo łatwo znaleźć tam analogie do obecnej sytuacji Polski, również tworzonej jakby na nowo. Może jednak częściej należy wykorzystywać osobiste wyznania ludzi z tamtych czasów, może odnajdziemy w tym nasze współczesne odczucia i postaramy się uniknąć błędów poprzednich pokoleń? Wszak historia magistra vitae est.

Stanisław Stępnik
Głowno

Wybielić Czerwoną!

Poruszaliście w swoim piśmie kwestię zmian nazw ulic. Od razu zaznaczam, że jestem im przeciwny, ale wobec zrozumiałych ciągot do wymazywania wszystkiego co przypomina minioną epokę proponuję następujące wyjście. „Chrzcić" ulice od nowa nazwami nie sprecyzowanymi do końca np. zamiast Obrońców Stalingradu – Obrońców, Bojowników Getta Warszawskiego – Bojowników, i tak dalej. Mamy jeszcze do wykorzystania Kombatantów, Weteranów, Bohaterów, Oficerów, Żołnierzy, Duchownych, Ojców, Synów, Matek, Córek, Pułków, Brygad itp. itp. Desygnaty tych nazw mogą być pojmowane na tyle ogólnikowo, że w razie jeśliby nam się – co Panie Boże nie daj – przytrafiła zmiana ekipy lub systemu władzy, nie będą się one źle kojarzyć. Przy okazji mam kilka podpowiedzi dla entuzjastów zmian nazewnictwa. Chyba przez niedopatrzenie (bądź kryje się za tym wroga działalność agenturalna KGB lub Mossadu) nie zmieniono jeszcze nazw takich ulic jak np.: Romualda Traugutta (przystąpił do stronnictwa Czerwonych), Jarosława Dąbrowskiego (przywódca, tfu, na psa urok – Komuny Paryskiej), J. Tuwima i L. Zamenhofa (Żydzi!), F. D. Roosevelta (sprzedał nas w Jałcie) czy wreszcie – o zgrozo – Czerwona.

Uważam, że trzeba te zaniedbania niezwłocznie naprawić. Rajcowie miejscy będą mieli pożyteczne dla miasta i jego mieszkańców zajęcie jeszcze na parę dobrych miesięcy.

Andrzej Rosiak
Łódź

My nie jesteśmy konkurencyjni

My jesteśmy bezkonkurencyjni

– cena – jakość – kulturalna obsługa
– kompleksowy wybór materiałów

to My:

Łódzka Centrala Materiałów Budowlanych
„BUDO HURT" S.A.

Hurtownia i Pawilon Łódź, ul. Tuwima 97
Sklep Firmowy Łódź, ul. Gdańska 140

Czy jeszcze gdzieś są takie ceny:
m.in. glazura imp. Włochy już od 90 tys. m²
papa asfaltowa 6200 zł/m²
a poza tym kupisz wszystkie materiały budowlane oraz do instalacji wodnych, gazowych, wodociągowych, kanalizacyjnych.

Mamy też nowe oferty, są to:

- **artykuły wyposażenia wnętrz**
- **farby i lakiery**

My na Ciebie czekamy!

Trochę klasy redaktorze!

Z prawdziwym zażenowaniem przeczytałam artykuł pana Bohdana Gadomskiego poświęcony znanej prezenterce telewizyjnej Alicji Resich-Modlińskiej. Zdaję sobie sprawę, że ploteczki o postaciach życia publicznego, ich cechach charakteru i zakulisowych rozgrywkach mogą być dla niektórych interesujące i zawsze znajdą żądnych sensacji odbiorców. Wydaje mi się jednak, że szanujące się pismo do takich „rewelacji" powinno odnosić się z pewną rezerwą.

Nie ma nic złego w tym, że człowiek jest ambitny, odważny i ma siłę przebicia. Zwłaszcza w środkach masowego przekazu jest to cecha wielce pożądana. Nie widzę również nic zdrożnego w tym, że prezenterzy zapraszają do studia swoich znajomych – należy tylko pozazdrościć szerokich kontaktów z interesującymi ludźmi. Pan Gadomski obracający się w środowisku tzw. artystycznym powinien przy tym wiedzieć, że mówienie sobie po imieniu w pewnych kręgach jest po prostu przyjętą formą i nie musi od razu świadczyć o zażyłości czy prywacie.

Skądinąd wiem, że pan redaktor nie zawsze stosował w swej dziennikarskiej pracy czyste metody – zdarzało mu się firmować swoim nazwiskiem „wywiady", które powstały poprzez zręczne skompilowanie wypowiedzi gwiazd udzielonych przy innych okazjach, niekoniecznie panu Gadomskiemu. Można więc podejrzewać, że tym razem w artykule pan redaktor stara się załatwiać jakieś swoje prywatne rozgrywki, wykorzystując zasłyszane gdzieś plotki i wypowiedzi, interpretując je w sposób dla siebie wygodny.

Skoro pan Gadomski lubuje się w ploteczkach, niech łaskawie posłucha tego, co robi właśnie pani Alicja Resich-Modlińska w „RadioManie". Jej kącik jest dowcipny, zaspokaja ciekawskich i nikomu krzywdy nie robi.

Fakt, że pan redaktor nie lubi pewnych osób, jeszcze nie upoważnia go do publicznego załatwiania porachunków. Trochę klasy, panie redaktorze!

Olga Krawczyk
Łódź

To nie był sekretarz generalny

Z Prokuratury Wojewódzkiej, od naczelnika Wydziału Śledczego – mgr Jacka Szafnickiego, otrzymaliśmy pismo prostujące podane przez nas w „Widziane z Łodzi" informacje dotyczące śledztwa w sprawie działania Rady Obywatelskiej Szpitala Pomnika Centrum Zdrowia Matki Polki. W piśmie tym prokurator Jacek Szafnicki pisze:

Henryk A., któremu rzeczywiście przedstawiono zarzut w prowadzonym śledztwie nie był nigdy sekretarzem generalnym Rady Obywatelskiej CZMP, lecz w rzeczywistości był dyrektorem Sekretariatu tejże Rady Obywatelskiej. Po przedstawieniu mu zarzutu – nie przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu. Przesłuchanie go nie trwało trzech dni, gdyż po złożeniu ogólnikowych wyjaśnień skorzystał z przysługującego mu prawa i odmówił składania ich co do szczegółów.

Sekretarzem generalnym Rady Obywatelskiej CZMP był Józef N., któremu także przedstawiono zarzut. Nie przyznał się on do popełnienia zarzucanego mu czynu i złożył obszerne wyjaśnienia, których odbieranie zabrało kilka dni.

Nigdy nie planowano przesłuchiwania „innych członków Rady Obywatelskiej", zwłaszcza w charakterze podejrzanych. Ciało to liczyło około stu osób i brak podstaw, by zakładać, że wszystkie one bez wyjątku mogą posiadać wiadomości istotne dla prowadzonego śledztwa. 30 lipca 1991 r. przesłuchano natomiast w charakterze podejrzanego Zenona K., byłego przewodniczącego tej Rady. Nie przyznał się on do stawianego mu zarzutu.

Wszystkich zainteresowanych oraz Czytelników przepraszamy za podanie niedokładnych informacji.

SKLEP FIRMY
maxbud
Łódź, ul. Pojezierska 6/8
(pawilon, I piętro)
oferuje:
- boazerie i listwy
- drzwiczki i kowbojki
- farby i lakiery
- okucia i inne art. wykończeniowe

Jedno danie Anny-Marii

Nazywam się bezrobotna

Nie. Nie chcę myśleć o tej kobiecie. Jest wciąż tragicznie gorąco. Karetki wyją co i rusz, pędząc Zgierską. Pewno w szpitalu Biegańskiego jest ostry dyżur. Nie sprawdziło się ludowe przysłowie, że od „świętej Anki chłodne wieczory i poranki". Poranki i wieczory jednakowo upalne. Nocą, mimo otwartych okien, nie ma czym oddychać. W ciągu dnia żar odejmuje wszelką chęć do życia. Każdy najmniejszy ruch powoduje wzmożone kołatanie serca, płuca się duszą.

To była zupełnie obca kobieta. Widziałam ją po raz pierwszy. Siedziała na ławce w parku, a ja też na tę ławkę się przysiadłam.

Codziennie rano przychodzę tu z psem. Ludzi o tej porze w parku niewielu, dzieci nie wrzeszczą, chłopaczyska nie rozbijają się na rowerach. Cicho, a światło przytłumione na zielono od drzew. Pies biega, a ja sobie siedzę i po prostu tylko patrzę. Na te drzewa, na zieloność.

Nagle ta kobieta zapytała, czy mogę dać papierosa? Burknęłam, że nie mam i podniosłam się, żeby znaleźć dla siebie inną ławkę.

Chwyciła mnie za rękę: Niech pani nie odchodzi! Proszę nie zostawiać mnie samej.

Wtedy zobaczyłam jej oczy. Były bardzo jasne. Jak prześwietlony negatyw. Takie dwie dziury w twarzy. Z czarnymi pręgami źrenic.

– *Proszę!*

Jakaś wariatka, pomyślałam ze złością, ale się do mnie przyczepiła.

Lecz wtedy zobaczyłam ten ruch: paznokcie wbite w ciało, rozdrapujące. Obie ręce, aż do łokci, miała w takich żywych, na świeżo wydrapanych ranach.

Wiele lat temu znałam człowieka, który też tak. Rozmawiał normalnie na mądre tematy, a równocześnie cały czas się kaleczył. Nawet nie wiedząc, że się kaleczy. Był to lekarz, który w pięćdziesiątych latach został skazany na karę śmierci w jednym z pierwszych w tym kraju, pokazowych procesów przeciwko inteligencji. Przesiedział kilka miesięcy w celi śmierci, czekając na ułaskawienie. Łaskawie je otrzymał, karę śmierci zamieniono na dwadzieścia pięć lat. Wyszedł, zrehabilitowany, w pięćdziesiątym szóstym. Wrócił nawet do zawodu. Lecz co pewien czas przyjeżdżał na leczenie do Kochanówki. Z powodu tego rozdrapywania się właśnie.

Usiadłam.

A oto historia kobiety z parku:

Od pięciu miesięcy jest bez pracy. Ma trzydzieści osiem lat. Dwie córeczki: ośmio- i sześcioletnią. Kończyła Technikum Włókiennicze. Wyszła za mąż, długo leczyła się na bezpłodność. Mąż cichy, dobry, pracowity. Był murarzem. Na mieszkanie załapali się dość szybko, po czterech lata czekania. Trzy lata temu mąż wyjechał na saksy. Do RFN. Miał być trzy miesiące. Po trzech miesiącach napisał, że wróci za pół roku. Przysyłał dużo paczek z używaną odzieżą. Marek ani dolarów nie, bo pisał, że je gromadzi i wróci wielkim autem, aż po brzegi wyładowanym prezentami i takimi cudami jak kolorowy telewizor, magnetowid. Nie wrócił wielkim autem. Paczki przestały przychodzić. Listy również. Szukała go przez różne instytucje. Kamień w wodę. No cóż, bywa tak też. Jakoś to przeżyła. Musiała. Przecież dwoje dzieci, a tu wszystko coraz droższe. Ciężko bardzo. Ale nie beznadziejnie.

Cztery miesiące temu zwolniono ją po osiemnastu latach pracy. Razem z innymi. Dwadzieścia osiem osób poszło za bramę. Wymówienie do ręki i won, moja pani. Że jedyna żywicielka rodziny? Teraz nowe czasy, kapitalizm, moja pani. Wiedziała, że ten zasiłek dla bezrobotnych nie jest wieczny. Natychmiast zarejestrowała się w „pośredniaku". Nie siedziała też z założonymi rękami. Sześcioletnią zostawiała na opiece ośmioletniej, a sama poza Łódź, wynająć się do pielenia, do truskawek. Do wszystkiego, żeby tylko dorobić. W „pośredniaku" dowiadywała się regularnie. Dla jej zawodu pracy nie było. Więc – aby co. Aby pracować i nie żyć w tej koszmarnej niepewności, co z jutrem?

Właśnie wczoraj zaproponowano jej pracę. Telefonistki. Za czterysta pięćdziesiąt tysięcy. Rozpłakała się przed urzędniczką. Jak mam wyżywić dwójkę dzieci, taka pensja nie wystarczy nawet na komorne i światło? A mnie co to obchodzi? – krzyknęła urzędniczka – Niech się pani przebierze za Rumunkę i idzie żebrać, jeśli nie chce pracować! Więc wyszła stamtąd. Wsiadła w dziewiętnastkę. Nie wie, jak to się stało. Ale stało się: ktoś wyciągnął z torebki portmonetkę. Nie miała w niej dużo. Ale to, co miała, to było wszystko. Te dwieście dwadzieścia siedem tysięcy i jeszcze trzysta dwadzieścia złotych. Nigdy nie zabiera ze sobą wszystkich pieniędzy. Nie wie, dlaczego akurat je wczoraj, jadąc do „pośredniaka" zabrała. Nawet nie potrafi sobie przypomnieć, czy zabrała je dlatego, żeby te tenisówki dla młodszej córeczki? Bo córeczce nóżka ostatnio urosła. Paluszki mnie bolą, mamusiu, mówiła, kup mi butki, mamusiu. Ale jak się ma po opłaceniu świadczeń do końca miesiąca niewiele więcej ponad dwieście tysięcy, to jak kupić butki córce? Więc w jej starych butkach wycięła takie dziury na palce. Dziecko płakało. Nie pójdę na podwóreczko mamusiu, bo się Gosia z Darkiem ze mnie będą wyśmiewać. Chyba też razem z dzieckiem płakała. Więc może dlatego wzięła te wszystkie swoje pieniądze? Nie pamięta. W ogóle niewiele pamięta z tego wczorajszego dnia. Poza tym, że tak bardzo gorąco. Że długo w kolejce do nadziei. Że serce gdzieś w gardle jakby. No, i że ta praca. Za czterysta tysięcy. I jeszcze, że może się przebrać za Rumunkę.

Tak. Aha, i pamięta jeszcze, że wróciła do domu. Miała w nim dwa jajka, resztkę oleju i kawałek chleba. Usmażyła na tym oleju po jednym jajku dla każdej z córek. Podzieliła chleb na dwie części. Ale już nie patrzyła, jak jedzą. Powiedziała, że jak zjedzą, to mają się grzecznie bawić. No i wyszła. Chodziła po sklepach. Chciała coś ukraść. Na kolację dla córek. Ale nie odważyła się. Nigdy dotąd w swoim życiu nie kradła. Jak jej za dużo wydano reszty w sklepie, to szła i odnosiła. Potem zrobiło się ciemno. Pomyślała o tych swoich dziewczynkach. Siedzą głodne, same i płaczą. Po drodze do domu ma dworzec. Kaliski. Poszła na peron. I dalej, wzdłuż torów. Pociągi. Pociągi. Ale nie starczyło jej odwagi. Potem nie wie za bardzo, co się z nią działo. Tej dzielnicy Łodzi nie zna, nigdy nie była jej po drodze. Usiadła. Siedziała. Jak długo, nie wie. W ogóle nic nie wie. Ani jak żyć, ani jak umrzeć. Przeprasza mnie, że zajęła mi tyle czasu. Musiała się do kogoś odezwać. Żeby przekonać się, że świat nie jest bezludną pustynią.

Zapytałam, jak się nazywa, gdzie mieszka. Popatrzyła na mnie tymi swoimi dziurami.

– *Nazywam się bezrobotna. A mieszkam w Polsce.*

Poszła. Chciałam na nią zawołać. Nie zawołałam. Bo co mogłabym dla niej zrobić? Pobiec do domu, przynieść jałmużnę?

Bezrobotna. Mieszka w Polsce. To jej aktualne namiary.

Anna-Maria

P.S.

Według ostatnich danych liczba bezrobotnych w Polsce przekroczyła półtora miliona. Szacuje się, że do końca bieżącego roku będzie ich dwa razy więcej.

E. L. Skalnik Z tygodnia na tydzień (13)

Trzy pokoje z kuchnią w starym budownictwie

Usiadł za stołem. Twarz miał ciągle bez wyrazu. Nieruchomą. Poszarzałą.

– *To tylko podejrzenie, nic więcej* – powtórzył.

– *Tak. Oczywiście* – przytaknęła Jadwiga. – *Odsmażyć ci kartofelki?*

– *Proszę* – lecz gdy sięgnęła po patelnię powiedział: *Może tylko herbaty się napiję? Jakoś nie chce się jeść...*

– *Gorąco, to i się nie chce. Ładne lato w tym roku.*

– *Ładne. Bardzo.*

– *A może wolisz zamiast herbaty wodę z sokiem? Kupiłam malinowy. Lubisz malinowy.*

– *Lubię.*

Postawiła przed mężem szklankę.

– *Czujesz, jak pachnie? Dobry sok. Niefałszowany.*

– *Rzeczywiście.*

Usiadła naprzeciwko męża. Nie wiedziała już, co ma powiedzieć. W głowie pustka.

– *Anicie wciąż nie wypłacają za godziny nadliczbowe...*

Zapatrzony w szklankę, nie odpowiedział.

– *A Damian, ten nicpoń, wyobraź sobie, urwał pasek przy sandałku. Cała awantura! O głupi pasek. Anita aż się popłakała, bo to nowe sandałki, tydzień temu dopiero kupione...*

Nie zareagował, więc umilkła. Chyba nie słyszał ani jednego słowa. Szklanki też nawet nie dotknął.

– *Heniek...*

– *Co?*

– *Pij. Dobre.*

– *Tak. Dobre... Nie gniewaj się, Jadzia. Pójdę się położyć.*

– *Dobrze, Heniek. Połóż się. Wypocznij. Miałeś ciężki dzień.*

Przeszedł przez kuchnię szurając nogami. Boże miłosierny, pomyślała, patrząc w ślad za mężem, Boże, ulituj się nad nami.

Odwrócił się od drzwi. Chciał coś powiedzieć. Może znowu powtórzyć, że to tylko podejrzenie, ale machnął ręką, wyszedł. Pobiec za nim? Lecz po co? Cóż mogłaby mu powiedzieć? Nie zna takiego słowa. Żadne ze znanych nie jest w stanie przesłonić tego złowrogiego: guz. Guz znaczy rak. Rak znaczy śmierć.

– *Ojcze nasz, któryś jest w niebie i na ziemi. Święć się imię Twoje. Przyjdź Królestwo Twoje...* – zaczęła się modlić, ale i te słowa wydały się jej nagle przeraźliwie puste, zimne, nic nie mówiące. Poczuła ogromne znużenie. Z taką żarliwością błagała Boga przez te długie, ostatnie dni, aby zmiłował się nad jej nieszczęsną córką i zechciał obudzić resztki sumienia w tym, który ją skrzywdził, że jakby się wypaliła doszczętnie. Wiadomość o śmierci brata też przyjęła obojętnie. Ktoś umarł. Ktoś, kto miał na imię Zygmunt. Mężczyzna z fotografii w ramkach, ustawionej w pokoju babci i dziadka na komódce. Usiłowała wykrzesać w sobie jakieś wspomnienia, obrazy z dzieciństwa, które pozwoliłyby odczuć żal, lecz za każdym razem pojawiał się podretuszowany, upozowany, obcy facet z krótko przystrzyżonym wąsikiem i płaskim uśmiechem. Pogrzeb przebyła bez jednej łzy, cały czas rozmyślając o córce. Nie sposób było nie zauważyć jej rozjaśnionych wręcz nieprzyzwoitą radością oczu. Kiedy Teresa wywołała na bok, mówiąc, że z Heńkiem jest niedobrze i powinien natychmiast po powrocie do Łodzi poddać się badaniom specjalistycznym – odczuła strach, ale i ten strach dotyczył nie tyle choroby męża, ile przyszłości bez męża. Jezus Maria, jeśli on ma raka, to umrze. Jezus Maria, jeśli umrze, to jak ja sobie bez niego poradzę?

I strach spotężniał, gdy przypomniała sobie o teściu. Bóle głowy zaczęły się u niego nagle, od razu, gwałtowne. Potem neurolog. Potem szpital. W dwa tygodnie po operacji nie żył. Miał dokładnie tyle lat co Heniek.

Drzwi skrzypnęły.

– *Jadzia?*

– *Tak, mamo?*

Matka w czarnej sukience wydawała się całkowicie zgrzybiałą staruszką. Przeżywała śmierć najstarszego syna. Jej ból był cichy, może dlatego tak przejmujący. Nad otwartą mogiłą pochylała długo siwą głowę. Kiedy na trumnę spadły grudy ziemi, zasłoniła twarz. Mamo, nie płacz, powiedziała tam, przy grobie, Jadwiga. Józefa spojrzała na nią wyblakłymi oczami. Były suche. Przecież ja nie płaczę, Jadzia. Bo i po co? Tylko właśnie pytam się Boga: dlaczego on, a nie ja?

– *Heniek wrócił?*

– *Wrócił.*

– *Co powiedział mu lekarz?*

– *Skąd mama wie, że był u lekarza?* – zdumiała się Jadwiga. *Przecież nikomu nie mówiliśmy.*

Józefa nie odpowiedziała. Zapatrzyła się gdzieś przed siebie.

– *Teraz kolejka moja, a nie Heńka* – odezwała się wreszcie.

– *Niech mama przestanie! Nic mu nie grozi. To tylko... rutynowe badania.*

Józefa podeszła bliżej. Położyła dłoń na plecach Jadwigi.

– *Bo widzisz, Jadzia, ja się już jej nie boję.*

– *Mamo!*

– *To prawda, Jadzia. Minął zły czas, gdy na myśl o niej cała drętwiałam i każdą swoją starą kosteczką pragnęłam żyć. Jeszcze, Panie Boże, pozwól mi zobaczyć nową wiosnę. Pozwól, żeby mnie słoneczko w parku ogrzało. Ale teraz, gdy Zygmunt odszedł, leżę w nocy i myślę: a może dlatego Bóg go zabrał, bo mnie podarował tę jeszcze jedną wiosnę? to lato gorące? Nic nie ma za darmo. Zawsze jest coś za coś. Nawet u Pana Boga.*

– *Ja mamę proszę!* – podniosła głos Jadwiga.

– *I o tym, że nic za darmo, ty również powinnaś pamiętać, Jadzia.* – Powiedziała Józefa. Pogładziła po włosach. Objęła.

Skurcz w gardle zadławił boleśnie. Jadwiga rozpłakała się.

– *Taka jestem nieszczęśliwa, mamo!*

– *Wiem. Ale to jest dobry, porządny, cichy człowiek, ten twój mąż. Okłamywałaś go przez całe życie. Kłam dalej. Zwłaszcza teraz. Potrzebuje twego kłamstwa.*

Jadwiga szarpnęła się z objęć matki.

– *O czym mama mówi?* – krzyknęła zduszonym głosem.

– *Ty wiesz, Jadzia, i ja też wiem. Módl się, żeby on się nigdy nie dowiedział...*

– *I po co te płacze?* – Anita wparowała do kuchni zamaszystym, nerwowym krokiem. Spocona, potargana i wściekła. – *Wujowi płacz nie zda się na nic, jemu już w ogóle niczego od żywych nie trzeba. Ja, oczywiście, rozumiem, że żal i tak dalej, ale najlepiej...*

– *Ale najlepiej będzie, Anita, jeśli zamkniesz buzię na kłódkę* – z nieoczekiwaną gwałtownością przerwała Józefa.

– *No wie babcia! Wypraszam sobie! Mam prawo wygłaszać swoje poglądy!*

– *A ty je w ogóle masz, Anita?* – odparowała Józefa. Ignorując wnuczkę wyszła z kuchni. Rozsierdzona Anita wyładowała złość na matce:

– *Przynajmniej mama by nie udawała rozpaczy! Wujek Zygmunt był dla nas zupełnie obcy! Babcia go też ostatni raz widziała przed wiekami, stara sklerotyczka!*

– *Anita!*

– *A co? Ja też jestem człowiek! Już nie wytrzymuję, pękam nerwowo! Niechby mama spróbowała łazić po brudnym parku z dwojgiem marudzących bachorów w taką łaźnię parową przez dwie godziny! Jezu, nie ma wprost czym oddychać! Buba się znowu zesikała, ja ją chyba kiedyś zatłukę! Damian co krok jęczy: mamusia, kup loda! Mamusia, kup soczek pomarańczowy! A za co mam niby kupić? Czy to jest normalne, żebym własnemu dziecku nie mogła kupić loda? Soczku? To niby aż takie luksusy? Czy moje dzieci powinny się dusić w tym smrodliwym mieście? Teraz? W samym środku lata? To też niby taki luksus wywieźć własne dzieci na wakacje? Więc nie wymagajcie ode mnie, żebym rozpaczała po jakimś wujku Zygmuncie! Co on mnie obchodzi? Mam swoje własne życie, nad którym nikt nie płacze! Co was ono obchodzi? Ciebie, babkę, dziadka, ojca? Gdy pomyślę, że znowu spławiliście Andrzeja, to mnie po prostu trzęsie!*

– *Sam nie chciał wejść.*

– *Nie chciał! Nie chciał! Ciekawe, że chciało mu się was wozić taki kawał na jakiś obcy pogrzeb? O, ja wiem, że Andrzej od dawna szuka pretekstu, żeby się z wami pogodzić. Zawieźć swoje tyłki mu łaskawie zezwoliliście, ale podziękować, zaprosić do domu rodzinnego, powiedzieć: już dobrze, Andrzej, przebaczamy ci, na to was nie było stać! A on, Boże kochany, musi mieć już teraz taki szmal, że to się w pale nie mieści!*

– *Straszne, straszne* – powiedziała tylko Jadwiga.

– *Bzdura! Straszne to jest to, kiedy muszę odmawiać Damianowi loda! Brak pieniędzy jest straszny i upokarzający! A jakbyście z ojcem pogłówkowali, to ta forsa Andrzeja byłaby nasza! Joaśce niby krasnoludek co i rusz ją podtyka? Skąd ma na te swoje Chanele numer pięć? A te dwie bańki, które rzekomo znalazła na ulicy? Gówniara, puściła się nie wiadomo z kim, brzuch jej z bękartem rośnie, a oblewa się Chanelem!*

– *Jeżeli zechcę, obleję się również Niną Ricci i Heleną Rubinstein* – ostry głos Joanny zaskoczył je obie, i Jadwigę, i Anitę. Joanna zatrzymała się w drzwiach. Przyjęła wyzywającą pozę – *A ty, kochana siostruniu, z pewnością wiele byś dała, żeby się puścić tak, jak ja.*

– *Słyszysz ją, mamo? Widzisz, kogo wychowałaś?* – wrzasnęła Anita – *Zwykłą dziwkę!*

– *Zwykła dziwka przyszła wam oznajmić, że wychodzi za mąż* – ukłoniła się szyderczo Joanna – *Termin ślubu zwykłej dziwki już ustalony, ślub odbędzie się za dwa tygodnie. Zwykła dziwka po ślubie opuści szacowne progi trzech pokoi z kuchnią w starym budownictwie. Przeniesie się do dziesięciopokojowej willi z basenem w Łagiewnikach. A tak w ogóle, zaraz po zawarciu związku zwanego małżeńskim zwykła dziwka uda się wraz z mężem w podróż poślubną. Ma do wyboru: Wyspy Kanaryjskie, Monte Carlo albo Seszele. A ciebie, kochana siostro, która nigdy nie byłaś zwykłą dziwką, dokąd po ślubie zabrał twój szanowny Mareczek, a?*

– *Mitomanku!* – wrzasnęła Anita – *Kretynka! Idiotka!*

– *Joasia? Co to wszystko ma znaczyć?* – słabym głosem zapytała Jadwiga.

– *Dokładnie to, co usłyszałaś, mamo. Wychodzę za mąż. I będę już urządzona do końca życia. On ma mnóstwo forsy, mamo. Forsa Andrzeja przy jego to małe piwo. Wiedziałam, co robię, nie usuwając ciąży. Mamo! co tobie? Nie cieszysz się? A tak bardzo się o mnie martwiłaś! Już nie musisz, mamo! Wszystko się ułożyło świetnie i jest okey!*

– *Ach, tak. Okey.* – powtórzyła za córką Jadwiga. Dostrzegła okruszek chleba na stole. Skąd tu okruszek, skoro nikt do obiadu nie jadł chleba? A na obiad było... zaraz... co było dziś na obiad? Więc Joasia wychodzi za mąż? Okey mówi? No cóż. Skoro tak mówi...

Cdn.

Maria niemal od początku zna tajemnicę Tony'ego, spowiedź jej nieszczęśliwego męża nie dla niej tylko jest więc przeznaczona. John L. Cock mimo woli wpada więc w pułapkę moralizatorstwa. A może to zamierzone? Może amerykański „deprawator" celowo kreśli z takim znawstwem portret psychologiczny homoseksualisty?

„Nie byłabym w stanie uwierzyć, że to jest aż tak głęboko przeciwne całej naturze ludzkiej". To wyznanie Marii, stanowiące podsumowanie jej krótkiego i szaleńczego małżeństwa, najlepiej charakteryzuje dzieje związku dwojga osób, które nie mogą zostać nawet przyjaciółmi. Heroiczna próba przekroczenia przepaści może się skończyć tylko klęską, wywierając piętno na całym ich późniejszym życiu. Żeby się z niego wyzwolić, trzeba będzie w przyszłości odgrywać bolesną psychodramę.

Trzeba wyrazić uznanie Johnowi L. Cockowi, że przedstawia nam jej scenariusz tak szczerze i przejmująco. W całej literaturze mało jest równie śmiałych kart. I może dlatego jego książka, której fragmenty prezentujemy w kolejnym odcinku, budzi tyle współczucia dla zagubionych bohaterów.

kf.

John L. Cock

Tłumaczyła: Hanna Falińska

Maria, czyli kwadratura seksu

Życie miłosne homoseksualistów zasadza się na stałym powtarzaniu tego samego, pełnego nadziei motywu, podobnie jak utwór muzyczny wykonywany ustawicznie, aż jego rytm wbije się głęboko w podświadomość. I nabiera się także umiejętności rozpoznawania jego akcentów finalnych.

Dawno już temu porzuciłem dom rodziców. Następnego dnia po maturze wyruszyłem na Florydę, w poszukiwaniu słońca, i w poszukiwaniu szczęścia. Kiedy spotkałem Marię, pracowałem jako ratownik w jednym z hoteli w Miami Beach.

Muszę wyznać, że żyło mi się wówczas w miarę szczęśliwie. Żyłem z pewnym bardzo miłym gościem, starszym ode mnie, imieniem Roger, który oparł nasze stosunki na bardzo solidnej podstawie – na pieniądzach. Każdego poniedziałkowego ranka znajdowałem pod poduszką banknot studolarowy. I nie był z natury zazdrosny. Nigdy nie pytał, gdzie byłem, kiedy zdarzało mi się znikać na dzień lub dwa.

Ratownik w nadmorskim hotelu jest oczywiście wodzony na pokuszenie przez kobiety. Traktowałem je wszystkie z respektem należnym damom, czego bynajmniej nie oczekiwały.

Od pierwszego wejrzenia zorientowałem się, że Maria jest kimś zupełnie odmiennym. Przez pierwszy tydzień, odkąd się pojawiła, zwracała się do mnie w prosty i przyjazny sposób. Potem zaczęliśmy się spotykać w barze, po moich dyżurach. Stwierdziliśmy, że dobrze nam się z sobą rozmawia.

Znaliśmy się już od trzech lub czterech miesięcy – co przy kurortowej fluktuacji gości oznacza niemal całe życie – kiedy Maria zaprosiła mnie na koncert. Spędziliśmy razem wspaniały wieczór i od tej pory Maria prosiła mnie o dotrzymywanie jej towarzystwa, ilekroć potrzebowała męskiej eskorty.

I tyle. Ale prawdziwa niespodzianka spotkała mnie dopiero, kiedy opowiedziałem Marii, że szukam mieszkania.

– *A dlaczego nie miałbyś się wprowadzić do mnie?* – spytała.

Spojrzałem na nią, wzbudziła się we mnie seksualna podejrzliwość.

Namyślałem się nad jej propozycją. W pewien sposób mogła mi ona utrudnić życie. Ale najpierw postanowiłem sprawdzić, co ona naprawdę o mnie wie.

– *Jak wpadłaś na to, że się nie interesuję kobietami?* – spytałem.

Roześmiała się w odpowiedzi:

– *Tony, każdy mężczyzna na twoim miejscu okazałby mi już tysiąc razy swe względy, choćby dla utwierdzenia się w swej męskości. I obiecuję ci, że nie będzie zalecanek.*

Ale ziarno podejrzliwości jeszcze gdzieś we mnie tkwiło.

– *Dobra, to spróbujmy, na jakiś tydzień lub dwa* – zgodziłem się ostrożnie. – *Jak znajdę coś odpowiedniego, to się wyprowadzę.*

Przez pierwszych kilka nocy w mieszkaniu Marii byłem podenerwowany. Ale wkrótce uspokoiłem się i upewniłem co do ściśle przyjacielskiego charakteru naszych stosunków.

Następna ich faza rozpoczęła się całkiem niewinnie. Któregoś wieczora wróciłem do domu późno i zastałem Marię zaczytaną i zasłuchaną w muzyce. Poszedłem do kuchni, żeby sobie usmażyć jajecznicę. Kiedy ją już przyrządziłem i zamierzałem przerzucić z patelni na talerz, spostrzegłem w drzwiach Marię.

– *Tony, jak to właściwie jest?*

Talerz wyśliznął mi się z ręki, schwyciłem go jednak, zanim spadł na podłogę.

Spojrzałem na nią.

– *Jak to jest z pedałami?*

– *Tak jak z każdą inną istotą ludzką, mieszanka złego i dobrego.*

Zaczerwieniła się.

– *Nie znałam dotąd nikogo takiego...*

Dla odmiany ja ją zapytałem:

– *Chcesz, żebym cię wziął do baru pedałów, co? Czy to o to ci chodzi?*

– *Tony, czyś ty miał kiedy kobietę?*

– *Mario, jeśli się rozglądasz za popierdułką, znajdź sobie kogoś innego, dobrze? Ja tu jestem tylko sublokatorem. Zrozumiałaś?*

Wyszedłem z kuchni i poszedłem do swego pokoju. Głośno zatrzasnąłem drzwi – i nasłuchiwałem. Wiedziałem, że to się nie zakończyło na moim wyjściu z kuchni. To się wtedy dopiero zaczęło. Po raz pierwszy w życiu nagle przyłapałem się na próbie wyobrażenia sobie, jakby też mi to poszło z kobietą.

Po pracy jak zwykle poszedłem do baru, gdzie poderwałem przystojnego faceta, wysokiego, o wyglądzie wikinga. Nie znając się, strawiliśmy dwie lub trzy godziny na wstępnych rozgrywkach seksualnych, zanim się dowiedzieliśmy, co który z nas lubi. W tanim motelu najpierw ja go zerżnąłem, a potem on mnie. Wiedzieliśmy obaj, i on, i ja, że już się nie zobaczymy więcej.

I to było nieszczęście. Rozmyślałem o nim ze smutkiem, leżąc i czekając na Marię. Choćbyś się nie wiem jak starał, nigdy nie zdobędziesz mężczyzny. Każdy z nas rozbija się za prawdziwą, pełną męskością. Ale za każdym razem stwierdzasz, że ten ktoś nie jest w większym stopniu mężczyzną niż ty sam.

Maria chciała znać przyczynę mojego smutku. Oto ta przyczyna.

Usłyszałem zza drzwi jej kroki.

– *Wejdź* – powiedziałem.

Weszła.

– *Tony, bardzo cię przepraszam. Zachowałam się bardzo niewłaściwie.*

Rozmawialiśmy w ciemnościach.

– *Po prostu powiedziałaś prawdę. A prawda zawsze rani, jak myślę.*

Wiedziałem, że jest mi teraz bliższa niż przy pierwszym podejściu.

– *Chciałabym cię zrozumieć, chciałabym ci pomóc, jeślibym tylko potrafiła.* – Zamilkła na chwilę. – *Tony, weź mnie jutro z sobą do baru pedałów, dobrze?*

Usiadłem na łóżku.

– *Mario, nie powinnaś oglądać takiego czegoś. Nie spodobałoby ci się to.*

Przez nie domknięte drzwi wpadała do pokoju cienka smużka światła. Zanim zdołałaby zniknąć, poprosiłem:

– *Mario, chodź tutaj, wejdź do łóżka.*

Była kobietą dzielną. Usłyszałem odgłos ubrania zrzucanego z ciała na podłogę. W następnej chwili ułożyła się przy mnie, przylgnęła do mnie nagim ciałem i objęła mnie ramionami. Rozpłakałem się. Kiedy się wreszcie wypłakałem do cna, zasnąłem spokojnie w jej objęciach.

Obudziwszy się rano nie znalazłem jej przy sobie. Byłem jej wdzięczny, że znikła. Cały dyżur spędziłem na wpatrywaniu się w linię horyzontu i rozmyślaniu o Marii. I o sobie samym. Wróciłem wprost do domu, by zastać mieszkanie puste. Wziąłem do ręki jedną z jej książek i próbowałem czytać. Ale nie umiałem się skupić. Kiedy usłyszałem odgłos klucza w zamku, zdziwiłem się swym podnieceniem.

Weszła uśmiechnięta, niosąc jakieś elegancko opakowane pudło.

– *Moje nowe marzenie. Straszliwie drogie. Ale straszliwie piękne.*

Usiadła na wprost mnie, położyła pudło na podłodze za sobą. Twarz przybrała wyraz powagi.

– *Tony, uważam, że się powinniśmy pobrać.*

Stałem osłupiały.

– *Pobrać?*

– *Tak* – potwierdziła. – *Nie boisz się?*

Przypatrywałem się jej uważnie.

– *Przecież wiesz, że jestem pedałem.*

Podeszła do mnie z wyrazem nadziei w oczach.

– *A czy nie mógłbyś stać się kimś, kogo bym pokochała?*

Wstałem i przeszedłem się po pokoju. Nagle stwierdziłem z głębokim zdziwieniem, że zaczynam nabierać ochoty na to, aby nabrać ochoty na nią!

– *Wiesz, co możesz sobie ściągnąć na głowę?*

– *Wiem* – odpowiedziała – *ale czy ty też wiesz?*

Odetchnąłem głęboko.

– *W porządku. Ożenię się z tobą.*

Odczekaliśmy pełne trzy dni, tak jak wymagało stanowe prawo Florydy, nadal zamieszkując wspólnie jak przyjaciele i nie dotykając się nawet.

Najdziwniejszą rzeczą w tym wszystkim była tajemnica stroju, który sobie sprawiła owego dnia i przyniosła do domu w starannie opakowanym pudle. Była to suknia ślubna... tak jakby wszystko było już postanowione, zanim padły pierwsze słowa. Było w tym coś z magii. Żywiłem w sobie także inne magiczne wyobrażenia: że mianowicie, ceremonia ślubna sprawi, iż stanę się mężczyzną. Wierzyłem w to. Naprawdę w to wierzyłem i w noc poślubną wszedłem do jej pokoju.

Stała, ciągle jeszcze ubrana, przed ogromnym lustrem. Zastanawiałem się, co w nim zobaczyła. Spojrzała na mnie przez ramię, jej oczy nagle zmieniły wyraz. Suknia opadła z niej na podłogę. Wprawnym gestem rozpięła stanik pozwalając mi ujrzeć piersi. Przeniknął mnie nagły chłód. Była kobietą. Nie była zbudowana odpowiednio. Odpowiednio dla mnie.

Szybkim, zwinnym ruchem ściągnęła majtki i wyprostowała się naga, jak smukła, strzelista konstrukcja. Studiowałem wzrokiem jej urodę ze spokojem wynikającym z całkowitego braku zainteresowania. Wszystkie te kobiece krągłości wiodły w złą stronę, ta wielka czarna kępa włosów nie kryła niczego, czym można by się zachwycić. Wstrętne. Była wstrętna.

Uciekając przed mym okrutnym spojrzeniem, położyła się na łóżku.

– *Zdejmij piżamę. Daj mi siebie obejrzeć.*

Wyciągnąłem rękę do kontaktu, pokój zanurzył się w ciemnościach. Zdjąłem piżamę, czując jak przenika mnie chłód i potykając się o jakiś mebel wszedłem do łóżka. Natknąłem się na jej błądzącą po nim rękę.

Pozostawałem bierny, kiedy dotykała mnie ciepłymi palcami skupiając się na myśli, że oto, w ciemnościach, pieści mnie kochająca ręka. Ponieważ mogłem już nie widzieć kobiety, zaczynała się erekcja.

– *Dotknij mnie* – wyszeptała – *chciałabym, żebyś i ty mnie dotknął.*

Usiadłem po swojej stronie łóżka i położyłem jej dłoń na brzuchu. Był miękki i obły, zamiast być utwardzony mięśniami. Tłumiąc oddech, przesunąłem dłoń ku jej owłosionemu wzgórkowi. Uniosła pośladki. Nie posuwałem się dalej; miałem oto przed sobą całkowitą gotowość kobiecej dziury, pożądającej mnie, chcącej mnie wchłonąć, zagrażającej pochłonięciem mnie, jeśli raz choćby jej ulegnę.

– *Możesz wejść we mnie* – powiedziała – *jeśli chcesz.*

Jej ręka pracowała wytrwale, przysposabiając moje potężne narzędzie. Chociaż chciałem, nie mogłem jakoś podjąć jej wyzwania.

– *Dobrze, Tony. Leż spokojnie. Ja zrobię resztę.*

Ułożyłem się wygodnie obok niej. Wpatrywałem się w mrok pokoju, aż nagle ciemności wprost nade mną zgęstniały. To była Maria. Nagłym zwrotem bioder spróbowałem uniknąć mego przeznaczenia. Ale nie pozwoliła mi na to, przywarła do mnie okrakiem, jej pośladki nadziewały się na mnie coraz głębiej. Przypomniałem sobie, jak próbowałem krzyczeć, kiedy mnie gwałcił pan Harris.

Uznawszy się w końcu za bezradnego, przestałem się jej opierać. Zatrzymała się, oddychając ciężko.

– *W porządku. Pozwól mi teraz poodczuwać go trochę. To cudowne uczucie, Tony. Nie zaprzeczysz, że cudowne.*

Ja również odczuwałem jej ciepło, jej oddanie, jej pożądanie. Ale była za ciężka, jej ciało było zbyt rozlazłe i babskie, dziura była zbyt soczysta, zbyt grząska.

– *Wiesz* – powiedziałem – *ja nie mogę... nie mogę oddychać.*

Mimo wszelkich moich nadziei na działanie magii małżeństwa, moja erekcja zaczęła odpływać, centymetr po centymetrze, chociaż wprawiła pośladki we wściekły wprost ruch starając się ją zatrzymać. Kiedy się zupełnie z niej wyśliznąłem, pozwoliła mu opaść do końca i położyła się obok mnie. Drżała cała; dotknąwszy przepraszająco ręką jej policzka stwierdziłem, że jest zmoczony łzami.

– *To nie twoja wina, kochanie* – powiedziałem – *ja nie jestem właściwie skonstruowany. Ostrzegałem cię.*

– *Nie, to moja wina. Po prostu nie umiem ci okazać, jak bardzo cię kocham.*

Przytuliła się do mnie.

– *Tony, weź mnie w taki sposób, w jaki bierzesz mężczyznę.*

Przeniknął mnie nagły dreszcz. Odszukałem jej ciało dłonią i stwierdziłem, że leży na brzuchu, przygotowana. Odszukałem jej pośladki. Rozchylały się miękko pod naciskiem palca. Ale to było coś znajomego, coś swojego.

– *Mario* – wyszeptałem – *ale ja jestem okropnie wielki.*

Stwierdziłem już uprzednio ze wstydem i zakłopotaniem, że bliskość jej dupy pobudziła we mnie na powrót niezwykłą erekcję. Niepowstrzymana żądza popchnęła mnie w końcu do tego, że położyłem się na niej, wsunąłem kolana między jej kolana; uniosła wtedy pośladki. Odczułem radość dopasowując jej ciało do mego ciała. Ale w ostatniej sekundzie coś we mnie, może moja druga natura, wzdrygnęła się na myśl o jej krzyku i zimnym pocie. Z pełnym miłosnym skupieniem wcisnąłem mój potworny wzwód w inne miejsce!

Reszta naszej nocy poślubnej przebiegła spokojnie. Leżeliśmy obok siebie, nasze ciała stykały się przypadkiem od czasu do czasu; paliliśmy i rozmawialiśmy jak starzy przyjaciele.

Tak więc zaczęliśmy się uczyć seksualnego współżycia. Najciężej przychodziło mi pokonać lęk przed jej pochwą. Wchodzenie w nią przypominało wydawanie się na łup wielkim, żarłocznym ustom. Mogłem jej używać tylko od tyłu, jej pośladki gładkie i ciepłe przywierały do mnie, a ja wyobrażałem sobie jej odbyt.

Najważniejsze, że się kochaliśmy, i przyjaźniliśmy i żyła w nas głęboka nadzieja, że pokonamy wszystkie przeszkody i uzyskamy pełne wzajemne zaufanie naszych ciał. Jedna jeszcze sprawa była nam bardzo pomocna; otóż po raz pierwszy w życiu pragnąłem stać się sam prawdziwym mężczyzną, a nie tylko pokochać jakiegoś mężczyznę.

Zbyt wcześnie jednak pojawiło się na horyzoncie inne niebezpieczeństwo – niebezpieczeństwo, którego Maria wydawała się nie dostrzegać. Owładnęła nią mianowicie obsesyjna chęć zgłębienia mojej natury. Próbowała ją analizować na setki różnorodnych sposobów.

Rys. Dariusz Romanowicz

Tłumaczyłem jej stale:

– *Kobieta nie jest w stanie odczuwać tak, jak odczuwa mężczyzna, choćby się nie wiem jak starała.*

– *Ale nie masz prawa mi tego odmawiać. Musimy zbadać wszystkie drogi, które nas do siebie zbliżają. A ta droga... dowiem się czegoś więcej o sposobie twego odczuwania... i...*

Poderwała się z łóżka, myślałem, że się obraziła. Ale ona po prostu poszła do łazienki i przyniosła słoik wazeliny.

Spojrzała w kierunku mego podbrzusza.

– *Stanął ci na samą myśl o tym. Potrzebujesz tego bardziej niż ja.*

W jakiś sposób ta jej deklaracja wyzwoliła we mnie pragnienie zadania jej gwałtu. Poczułem się wtedy panem Harrisem, a w niej dostrzegłem młodziutkiego siebie, i kiedy się w nią wdzierałem, wsłuchując się w jej krzyki, zaśmiewałem się – i worywałem w nią jeszcze głębiej. I niech mi to Bóg wybaczy: zgwałciłem ją, nie bacząc na jej ból, podniecało mnie wręcz jej cierpienie, i kiedy się spuściłem, głęboko w jej odbycie, spostrzegłem z dumą pierścień zasychającej krwi.

– *No to już teraz wiesz, jak to jest. Doznałaś tego wreszcie.*

I w dziwny sposób poczułem się mężczyzną w większym jeszcze stopniu niż kiedykolwiek przedtem, zanim padły słowa, które mnie zniszczyły.

Wysunęła się wreszcie spode mnie. Usiadła na łóżku i ukryła twarz w dłoniach.

– *To jest tak strasznie przeciwne naturze, Tony* – powiedziała cicho. – *Przeraziło mnie to do głębi. Nie byłabym w stanie uwierzyć, że to jest aż tak głęboko przeciwne całej naturze ludzkiej.*

Podniosłem się z łóżka i włożyłem ubranie. Jeszcze tej samej nocy kupiłem sobie pięciu półmężczyzn naraz, po pięćdziesiąt dolarów od łebka.

Nie wróciłem już do Marii. Nawet mi to nie przyszło do głowy. Ruszyłem w świat swoją własną drogą, w świat, który tak dobrze znałem i którego tak serdecznie nienawidziłem.

Cdn.

Książka ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego